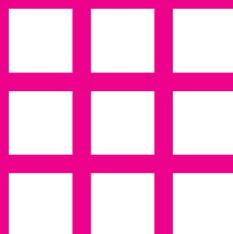


VariArt

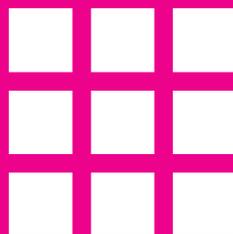
pismo kulturalno-literackie
NR 01/2017 (34)



www.wbp.olsztyn.pl



KKOMUNIKACJA



ISSN 2080-1483

BOBBY B. BARLOW

DRZEWO

czyli historia miłosno-traumatyczna

Już od dłuższego czasu coś skrzypiało i pischcało w moim samochodzie. Później zaczęło stukać i rzeżić, a ja ciągle odkładałem na później wizytę u mechanika. No i dograłem się. W połowie drogi, na pełnym odludziu, samochód odmówił dalszej jazdy, co spowodowało, że zmuszony byłem pieszo udać się do najbliższego miasta.

Szedłem poboczem nieuczęszczanej szosy, gdy nagle wyrósł przede mną człowiek.

– O, rany! Ale mnie pan wystraszył – powiedziałem.

– Przepraszam, nie miałem takiego zamiaru – odpowiedział, sapiąc. – Myślałem, że to ktoś jedzie autem.

– Całe szczęście nikt nie jechał, bo jakby tak pan wyskoczył, to albo by pana rozjechał, albo wypadł z drogi, lub wpadł na to drzewo.

– Taki właśnie miałem plan, bo Ewa jest taka samotna, a ja już coraz starszy jestem i nie wiem jak długo jeszcze będę do niej przychodził.

Rozejrzałem się niepewnie, poszukując wspomnianej przez mężczyznę Ewy. Nie zauważyłem nikogo. Już chciałem oddalić się bez słowa, gdy ten mnie zagadnął.

– Ewa to moja żona – wyjaśnił, jakby przewidując, o czym myślę. – Jej ciało zginęło tu dziewięć lat temu, ale dusza nadal żyje w tym drzewie. Nie wiem, jak to się stało, ale w wyniku zderzenia jej dusza przeskoczyła do drzewa.

„Wariat” – pomyślałem.

– Pewnie myśli pan, że zwariowałem, ale ja ją czuję w tym drzewie. Czuję jej

duszę. A czasami szumem liści próbuje ona coś do mnie mówić, ale nie jestem w stanie jej zrozumieć. Wie pan, że w drzewach są ludzkie dusze? Wyczuwam je wyraźnie. I one wiedzą o tym i próbują mi coś mówić, tak jak Ewa. W wielu mitologiach mówi się o tym, że drzewa mają dusze lub że to ludzie powstałi właśnie z drzewa, drzewa życia. Niech pan nie myśli, że jestem wariatem...

– Nie, nie. Po prostu spieszę się. Parę kilometrów stąd zostawiłem zepsuty samochód.

– Nie wierzy mi pan – stwierdził słusznie. – Nie szkodzi. Nie pan pierwszy. Mam tylko prośbę, by nikomu pan nie mówił, że mnie tu spotkał. Muszę tu być, dopóki nie spowoduję, by na sąsiednim drzewie znalazła się dusza, by Ewa nie była samotna, gdy mnie już zabraknie.

– Chce pan spowodować śmiertelny wypadek? – zreflektowałem.

– To chyba jedyny sposób?

– A nie myślał pan, by samemu rozbić się na tym drzewie?

– Myślałem, ale nie mam auta.

– To może niech pan na nim zawiśnie – powiedziałem na odchodnym bardziej do siebie.

Gdy dwa dni później wróciłem lawetą po swój samochód, zauważyłem na gałęzi drzewa zwisający i przecięty sznur, a liście obu drzew radośnie do siebie szeleściły.

KONIEC

W NUMERZE 01/2017:

02 PROZA

BOBBY B. BARLOW:
DRZEWO czyli historia miłosno-traumatyczna

04 WYWIAD

Tu nie można kłamać: Z IRENĄ TELESZ-BURCZYK
rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

06 POEZJA

JAN STRZAŁAŁA

08-11 PROZA

JAKUB MICHALCZENIA: Pierwszy APRILIS
VADIM MESYATS: Narzeczony

12 RELACJA

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI: Święto poezji na Litwie

13-15 POEZJA

INEZA JUZEFA JANONÉ
LIDIJA ŠIMKUTÉ

15 GALERIA

EDA YUKOV

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

WIESŁAWA ZIÓŁKOWSKA: Nasz dom nie kończy
się za drzwiami mieszkania...

20 RECENZJA

JERZY LENGAUER: *Zakład biograficzny Olsztyn*
Kazimierza Brakonieckiego

22 RELACJA

JUSTYNA ARTYM: Literatura kobieca?

23 FELIETON

MONIKA KOWALEWSKA: Yolo

24 MEDIA

ROBERT LESIŃSKI: „Opakowanie i jego zawartość”
– czyli uwag kilka o sposobie szukania odbiorcy

25 REGION

PAULINA WAKAR: Pasyw w Berlinie

26-28 INICJATYWA

IRENEUSZ ST. BRUSKI: Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich
na Warmii i Mazurach
PIOTR KARKOSZKA: Dlaczego piszę blogi

29 INSTRUKCJA

EMILIA WORONOWICZ: Dziewczyna, która czyta blogi

30 FELIETON

MAŁGORZATA SADOWSKA-BARTOSZEWICZ:
Rzodkiewka nie chce na Instagram

31 REGION

TERESA DWÓRZNIK-ROMAŃSKA: Szmaciany duch

W nowym sezonie wydawniczym wracamy do numerów tematycznych. Na pierwszy ogień – komunikacja. Zagadnienie tak znane, jak i trudne do uchwycenia. Słownikowa definicja mówiąca o tym, iż mamy do czynienia z przekazywaniem i odbieraniem informacji w bezpośrednim kontakcie z drugą osobą stała się dziś nieco nieaktualna. Pokażemy zatem, jak naszą komunikację zmienił Internet i media. Czy nowe środki przekazu ułatwiły czy utrudniły proces porozumiewania się opowiedzą Emilia Woronowicz i Piotr Karkoszka. Monika Kowalewska sprawdzi, czy język poróżnił pokolenia bardziej niż zwykle. Olsztyńscy dziennikarze Ireneusz St. Bruski, Małgorzata Sadowska-Bartoszewicz i Robert Lesiński odpowiedzą na pytanie, czy życie w świecie analogowym jest jeszcze możliwe oraz jak dziś wygląda praca w tym zawodzie. Nie zabraknie także tradycyjnego wywiadu: z Ireną Telesz-Burczyk rozmawia Krzysztof D. Szatrawski, a z Wiesławą Ziółkowską – Iwona Bolińska-Walendzik. Komunikacja to także spotkania kulturalne i sztuka, dlatego o ciekawych wydarzeniach dowiemy się z relacji Justyny Artym i Krzysztofa D. Szatrawskiego oraz galerii prac Edy Yukov. A do tego proza w wydaniu Bobby’ego B. Barlowa, Jakuba Michalczeni, Teresy Dwórznik-Romańskiej i Vadima Mesyatsa oraz poezja Jana Strzałały, Inezy Juzefy Janoné i Lidiji Šimkuté. O inne konteksty komunikacji zadbała Paulina Wakar.

Komunikujmy się!

Redakcja

VariArt

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 01/2017 (34)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Maja Dzieciątek, Monika Kowalewska,
Krzysztof D. Szatrawski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Przemek Kozak, skład: Patrycja Zdanewicz, w numerze ilustracje z cyklu:

„Para buch – koła w ruch” Patrycji Zdanewicz

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

Zrealizowano przy współudziale finansowym

Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



Z IRENĄ TELESZ-BURCZYK ROZMAWIA KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Tu nie można kłamać

**Zacznijmy od pierwszych związków z kulturą olsztyńską...**

Do Olsztyna przyjechałam jako dojrzała już kobieta z dorobkiem aktorskim, z jakimś życiem w Gdańsku, w Grudziądzu. Ale moje pierwsze wspomnienie to przyjazd do Olsztyna na spektakl, w którym grał Edward Wnuk, to był chyba jakiś Szekspir. Byłam pod wielkim wrażeniem tego aktora, a później, kiedy przyjechałam do Olsztyna w 1975 r., dowiedziałam się, że on już wyjechał do Krakowa, gdzie dostał angaż do Teatru Starego, i jakoś tak... zniknął. Czyli tu był wielki, a tam – zniknął. I od tej refleksji chciałabym zacząć.

Czy jest to koszt, jaki ponosimy, zmieniając środowisko, czy efekt skali?

„Super gwiazda w Koziej Wólce, a w stolicy w małej rólce” – tak się przecież o nas mówi: „W stolicy nic by pani nie zagrała, a w Olsztynie pani może”. Nie dzielę Polski na prowincję intelektualną z punktu widzenia miast i geografii. Prowincja istnieje w ludziach. Przyjechałam do Olsztyna nie na prowincję, ale do miasta bogatego w kulturę – tu działał Sewruk, tu był znaczący teatr. A przyjechałam z dyrektorem Rościszewskim i z aktorami z Grudziądza, gdzie byliśmy postrzegani jako jeden z najlepszych teatrów w Polsce, a przecież Grudziądz był jeszcze mniejszym miastem niż Olsztyn. Stąd moje przekonanie, że nie wolno traktować Olsztyna jak prowincji. Tu są ludzie o takich umysłach i tak światli... Czasami przyjeżdżają teatry z Warszawy i ja się wstydzę, że są aktorami, że są moimi kolegami, bo przyjeżdżają chałturzyć. Tu nie ma miejsca na chałturę, tu trzeba być naprawdę twórcą, tu nie można kłamać – tu jest taki naród.

Z czego bierze się ta wyjątkowość?

Może to się bierze z tego, że Olsztyn jest na siedmiu pagórkach jak Rzym, jak Wilno, może działają tu jakieś dziwne podziemne siły. A może z tego, że jest to tygiel kultur, że tu przyjechała również kultura wschodnia, gdzie język polski jest najczystszy. To wymieszanie w kontakcie z rdzenną kulturą Warmiaków, z kulturą Mazurów i Kurpiowszczyzny dało nam nie tylko ogromne bogactwo tradycji, lecz także otwartość na różne bodźce. Co innego znaczy śmierć na wschodzie i na zachodzie, inaczej się ją rozumie na wsi i w mieście. I tutaj to wszystko się razem zebrało, i nigdy nie było wolno kłamać. Chyba dlatego ten teatr, mój Teatr Jaracza, jest ciągle dobry.

Początek ma zwykle decydujące znaczenie, wróćmy zatem jeszcze do pierwszych dni w Olsztynie. Jak wyglądały te początki?

Zostałam zaangażowana przez dyrektora Krzysztofa Rościszewskiego. Przyszliśmy z mężem. Krzysztof powiedział mi już na wstępie, że tu są świetne aktorki, więc nie mam co czekać na wielkie role, że mnie weźmie, ale potrzebny mu jest Stefan Burczyk, a nie ja. Z taką świadomością zaczynałam pracę, nie czekając na żadną rolę. Dowiedziałam się, że będę robiła zastępstwo w śpiewogrze opowiadającej o czasach wojny pt. *Dziś do ciebie przyjść nie mogę* – nie jestem za bardzo śpiewająca, więc przeżywałam to strasznie. W tym momencie miałam kompleksy, wydawało mi się, że przyszedłam tu z głębokiej prowincji. Okazało się, że Lucjan Marzewski, nasz kierownik muzyczny, wybrał mnie. I w pewnym momencie zauważyłam, że kiedy tańczę, w kulisach stoją koledzy. Najpierw akceptację otrzymałam ze strony mężczyzn. Henryk Baranowski zaplanował mnie w *Zamku Kafki*, po czym Rościszewski zaproponował mi rolę Olgi w *Trzech siostrach*. I weszłam od razu we wspaniałe role. Halina Mikołajska, która przyjechała na przedstawienie z Warszawy, powiedziała mi po wyjściu ze sceny, że jestem najlepszą Olgą po wojnie, a poznała wszystkie, kiedy sama przygotowywała się do tej roli. A później to samo usłyszałam na festiwalu w Toruniu. Poczułam się silna aktorsko i rzeczywiście wkrótce posypały się nagrody publiczności.

Były to czasy wspaniałych osiągnięć teatru w Olsztynie i to nie tylko w Olsztynie.

To był inny teatr niż teraz, inni ludzie. Myśmy nie mieli samochodów, myśmy po spektaklu siadali i rozmawiali. Spotykaliśmy się po domach i były dyskusje do rana o Norwidzie na przykład. Teraz to jest nie do pomyślenia, teraz ogląda się telewizję, a jeżeli się rozmawia to palcami, patrząc w ekran zamiast w oczy. Zamiast listów w noc sylwestrową dostajemy życzenia na telefon, nie kupuje się kartek, nie zostawia się śladu. Kiedyś mówiono, że kobietę najbardziej

hańbi atrament, teraz już się nie zhańbimy atramentem, bo rzadko kto piórem wyraża uczucia. Myśmy się dzielili sobą bez pośrednictwa urzędów, myśmy autentycznie gotowali dla siebie, szliśmy do DŚT, piło się alkohol, a ile było kłótni, awantur o wiersze, o filmy, o wyniesione z lektur wrażenia i mądrości!

Lata 70. to w historii olsztyńskiego teatru okres wielu sukcesów...

Byliśmy liczącym się teatrem, z kolejnych festiwali przywoziliśmy nagrody. *Za Gorzkie żale w dozorówce* Istvana Csurki w reżyserii Krzysztofa Rościszewskiego dostałam nagrodę dla najlepszej aktorki Polski północnej w 1981 r. Mój mąż dostał nagrodę za *Przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna* Ivo Bresana. Była cała seria głośnych spektakli, które rozstawiły nasz teatr...

Niektóre spektakle z Olsztyna były w Teatrze Telewizji, na przykład wspomniane *Gorzkie żale*...

Przywoziliśmy nagrody z festiwali, ale też wyjeżdżaliśmy ze spektaklami, zapraszano nas do innych ośrodków, graliśmy w Warszawie. Mieliśmy świetny zespół, pracowaliśmy ze znakomitymi reżyserami, ale nie tylko Teatr Jaracza odnosił sukcesy. W tym czasie światową sławę zdobyła Olsztyńska Pantomima, Teatr Lalek też był silnym ośrodkiem – organizowano tu Telewizyjny Festiwal Teatrów Łalkowych. Także w Filharmonii Olsztyńskiej był to okres spektakularnych sukcesów, co zakończyło się nagle, kiedy rozeszły się drogi orkiestry i dyrygenta Janusza Przybylskiego. A był to artysta europejskiej klasy...

I w Europie został doceniony...

A dla olsztyńskiej filharmonii po jego wyjeździe nastąpiły trudne czasy. Tak to jest, kiedy do władzy dochodzą ludzie małego formatu...

Ożywienie kultury w drugiej połowie lat siedemdziesiątych zapowiadało rok 1980?

Pamiętam, że środowisko malarskie odnosiło w tym czasie liczne sukcesy, podobnie jak olsztyńska literatura. Pamiętam, jakimi wydarzeniami były książki Erwina Kruka, pamiętam wiersze Stefana Potoma i sukcesy Bohdana Dzitki, teksty Juliusza Grodzińskiego. Pamiętam, jak znakomitą rolę odgrywał miesięcznik „Warmia i Mazury”, żyliśmy tym na co dzień. Ale na pewno nie wszystko udało mi się zapamiętać. Po prostu nasze życie niemal w całości pochłaniał teatr. Pracowaliśmy dużo, a jeszcze działał teatr objazdowy. W październiku 1980 r. byłam już w Elblągu, gdzie wiceprzewodniczącym Solidarności był Rysiek Kalinowski. Kiedy radio podało, że Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury otrzymał Czesław Miłosz, rozplakałam się, a koledzy poprosili, żebym powiedziała im jakiś utwór tego Miłosza. Możesz sobie wyobrazić, jak mi było wstyd, że nic nie znam.

Nie było publikacji...

No właśnie! Na szczęście przypominałam sobie tę fraszkę: „Zagłądali do kufrów, zagłądali do waliz, nie zajrzeli do dupy, gdzie miałem socjalizm”. I kiedy im ją wyrecytowałam, pokochali Miłosza natychmiast. Później, zanim pojawiły się pierwsze wydania podziemne, ruszyła akcja przepisywania jego utworów na maszynie. I zapanowała taka moda na wiersze – już nie tylko Miłosza, ale na wiersze innych poetów, na wiersze ze stoczni – że nasz MKZ zaczął dosłownie żyć poezją. Wcześniejsze zrywy i protesty pozostawały odosobnione, w czerwcu 1956 r. ruszył Poznań, później Październik, w 1968 r. inteligencja, w 1970 r. stoczniovcy, w 1976 r. Radom i dopiero w 1980 r. w jedno społeczeństwo połączyli się robotnicy, inteligencja, studenci, artyści i udało się poruszyć cały kraj, wszystkie grupy zawodowe.

Łącznikiem okazał się język kultury?

Strajki w Gdańsku nie przetrwałyby bez twórców, przecież tam przyjeżdżali nasi najwięksi, łącznie z Wajdą i Hanuszkiewiczem. Byłam z nimi od początku i w 1981 r. na I Zjeździe Solidarności odczytałam odezwę do aktorów o bojkot telewizji. Wcześniej z podobną odezwą wystąpiło środowisko plastyczne – na zjeździe był Kazimierz Kaczor, Halina Mikołajska jako gość honorowy, byli Maciej Pawlicki, prawa ręka Wałęsy i wiceprezes ZAiKSu Stanisław Brejdygant, który po moim wystąpieniu wstał i potwierdził, że bojkot będzie. Dwa lata później, w lipcu 1983 r., pojechałam do Kwidzyna po naszych kolegów, bo część z nich wychodziła z internowania. Wyszedł Rysiu Kułakowski i mówi: „A my dziękujemy wam, aktorom, za bojkot telewizji”. To było coś niesamowitego!

Jest to tym bardziej niezwykle, że po roku 1989 najbardziej bezbronna okazała się właśnie kultura.

Przed wszystkim spadł procent PKB na kulturę. Ja ciągle wierzyłam, jako liberał, że ruszy sponsoring. Okazało się jednak, że najpierw należy biznes wychować. Dopiero dzieci biznesmenów będą zainteresowane wspieraniem kultury. Wcześniej bilety rozdawano – to też nie zawsze było dobre, bo wychowano widzów – ale większość ludzi nie szanuje tego, co za darmo.

Trzeba było przetrwać to dziesięciolecie...

Teraz jest już lepiej, ludzie zaczynają się interesować kulturą. Znow są spektakle, na które brakuje biletów. W Teatrze Jaracza są cztery sceny. Teatr Przy Stoliku, który już 20 lat prowadzi Ela Lenkiewicz, występuje w 98 miejscowościach. Powrót do kultury wysokiej staje się faktem. Bardziej martwi mnie upadek kultury języka, książki, ale to jest ogólny problem cywilizacyjny. Coraz więcej gadżetów i coraz mniej treści. Mimo to wierzę, że kultura się obroni.

Dziękuję za rozmowę.

JAN STRZAŁA

BO JESTEŚ

O czym nie mówię
nawet sercu swemu
nie napiszę

to gorzka linijka

wyrzucanie szeptu
z duszy

Nie wiem jak uwolnić mój świat
z ciemnych nocy bez ust
odrywających z ramion siłę
i spod skrzydeł powietrze

cofających moją krew

Bym mógł stanąć naprzeciw
nie obcej
bez lęku
lub czasem we mgle
kiedy drży powietrze od krzyku

Co wtłacza mnie w piach
marnych potrzeb

Zabierz i przyjmij całą wolność moją
poprowadź za rękę
odważnym losem

chcę Być
Bo jesteś.

WYPEŁNIAŁEM RZEKĘ

Właśnie wypełniałem rzekę po brzegi
nie miała jeszcze końca
nie miała swojego morza
nawet kamienie
nie stoczyły się
jeszcze do jej dna

Stałem w jaskrawym słońcu
z ciężką głową pełną zakrętów wodospadów
i leniwych toni

Jasna woda jak chmura płynęła
z rąk moich
obmywała żółty piasek
dotykała po raz pierwszy brzegów
i piękniała w strumień
co się boi
odległości
ale biegnie do niej

Nie wiedziałem
którędy brzegi się wywiodą
aż po horyzont
i dalej
aż do środka nieba
ziemia ułożyła się sama jak kochanka

nurt jak dłutem w jej ciało
wzdłuż cienia i światła
wchodził z pomrukiem rozkoszy

stawała się rzeka.

UKRYTE

Niewiele światła odstania
ukryte

w dzień
niewidzialne czerni noc
o sierp księżycy

Pisanie
to rodzaj konfesji
wyrzucanie z ukrytej jaskini
obcych

o świcie
w ramionach
cień pisze przerwana noc
na ustach
tym czym myślisz

nie mówisz nawet sobie
ciemnych słów

Dlatego są niemożliwe
krople potu
nie potrafisz różnić dnia z nocą
słodką

bo ta jaskinia ma władzę nad wolą
jest zalana ciepłym błotem

Nie pozwala Ci unieść powiek
namawia do milczenia
chociaż ono boli

to Twój wróg lęk lęku
przyjaciel słabości
wymyślony w ukryciu przed Tobą.

WYRWAŁ MI Z RĄK

Płakał
uciętą koroną
odrabanymi ramionami
wznosił do nieba
okaleczone słowa

wzdłuż ciała
milczały wiersze
porzucone na ziemi

krew płynęła strugą
zaorany polem
w szczelinie bruzdy

chmury
siniaty w zimnym słońcu
skowronki nie śpiewały
z wiatrem

drżały prostokąty
pozamykanych okien

ukryłem twarz w dłoniach
daleki szum autostrady
jak podmuch

Wyrwał mi z rąk
twoje serce.

JAN STRZAŁA — poeta, społecznik, organizator, autor 19 tomów poezji, od 1989 r. związany ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich, od 1993 r. prezes Oddziału SPP w Katowicach, w latach 1999-2002 wiceprezes Zarządu Głównego SPP.

BRZEMIENNA

Dusza w brennym potoku
jak biała czapla

Ukrywa słabość kruchą
na lodowej tafli

kroczy w mroźną biel
śniegu
delikatność iskiei

Nie poznaje nas

pozostała na zamrożonej rzece
jak płonąca zapalka
córka słońca

Niezrozumiała niemożliwa

słowa zanurzone w porannej mgle
rozmawiają z rybą
niewidzialną
pośród kamieni brzemiennej.

NOC

Noc
jak wiatr łąki uczipiona
drugiego brzegu

którego nie ma od dawna

zabliźnia się na granicy
poczucia
żeby nie urodzić o świcie
martwego dnia.

JAKUB MICHALCZENIA

Pierwszy APRILIS

Przy sobocie familia Piźdzyszynów nadal gnieździła się w przydziałowej kawalerce w kolejowym bloku przy Reymonta. W tygodniu czekała ich jednak przymusowa wywózka. Gminny zetor z przyczepą zatarga im graty na nowy adres. Wprost do socjalnego lokum o obniżonym standardzie i jeszcze mniejszym metrażu. Ta zastępcza klitkowata nora zlokalizowana była po drugiej stronie miasteczka, w którejś z kamienic za przejazdami kolejowymi. Całe dwa ciągi tych kamienic po obu stronach zatorzańskiej ulicy Wojska Polskiego to takie tam korszakowe slumsy, co dla picu zwano „starym miastem”. Tak na serio to było to podupadłe osiedle kolejarskie z czerwonej cegły — zabytkowa robotnicza kolonia mieszkalna postawiona za niemieckich czasów.

W tę sobotę szesnastoletni Lechu Piźdzyszyn około wpół do dwunastej uderzył do miasta.

Był najstarszy z Piźdzyszynów. Obgolony na zapałę maszerował w długich glaniakach hadeka z białymi sznurówkami. Te ciężkie trepaki jako „buty zimowe” fundnął sobie w październiku za kabonkę otrzymaną od tatuśki. Na dupę założył morowe bojówki — nowki sztuki nieśmigane z lumpeksu. A na grzbiet narzucił czarnego fleka, takiego pomarańczowego od spodu i zakupionego za pięć dych na ryneczku. W lewej grabie ścisnął pojemną reklamówkę poskładaną w kostkę oraz na szybko przygotowaną listę zakupów.

Za daleko to nie uszedł. Wparował do sklepu przy Mickiewicza — tam koło nowego przystanku ze spadzistym dachem. Spożywczak zajmował dwa pomieszczenia na parterze zabytkowej, lecz syjącej się kamienicy. Był to dobry punkt handlowy, bo budynek ze sklepem stał w centrum miasteczka i przy przystanku autobusowym. Od rana do nocy masa ludzi robiła tu zakupy, bo żadnych marketów w Korszach póki co nie było. Zaraz obok spożywczaka trwały roboty budowlane — akurat wykładano podest z polbruki i instalowano na nim „korzeń”.

W sklepie Lechu podczepił się do ogonka. Słuchał gadki, jak klienci wydzielali przy wyborze towarów potrzebnych im do uszykowania świątecznych potraw. Lampił się, jak ludzie kukający na busa skracali sobie czekanie przegryzaniem słodkich bułek i chęptaniem oranżady. Pomału przesuwiał się w stronę kasy fiskalnej. Miał na wszystko wywalone i dłużej paluchem w zapchanym nochu. Wyciągał kozunie i formował z nich kulki. Z przyczajki pstrykał nimi w tych wybrzydających ludzi i w tych warujących na autobus. Wreszcie stanął naprzeciwko sprzedawczyni — była to matka jego kumpli z ulicy, Cina i Bobka.

— Słucham, co dla ciebie? — zaczęła ekspedientka.

Piźdzyszyn luknął na kratkowaną karteluszkę i podał nazwę pierwszego produktu w pożądanej przez siebie ilości:

— Osiem kilo cukru poproszę.

Na trwało ufryzowana sprzedawczyni rozejrzała się po interesie w poszukiwaniu białego kryształku.

„Gdzie do licha stoi ten cukier?” — zastanowiła się, gdy nie zobaczyła ani kilograma na żadnej z półek. — Przepraszam, muszę na chwilę pójść na zaplecze. — I z drugiego sklepowego pomieszczenia przyniosła na dwa kursy osiem kilogramów białego kryształku. W dwuszeregu ustawiła je na ladzie zawalonej niezabranymi paragonami. — Czegoś chcesz jeszcze?

— Taa — przytaknął Lechu wgapiiony w kartkę. — Trzy czteropaki dżogurtów danona plus dwadzieścia deka żółtego sera, tylko żeby on taki z dziurami był.

Matka Cina i Bobka otworzyła chłodziarkę. Wyjęła jogurty oraz kawałek sera, co według niej miał dwadzieścia deko. Dla pewności rzuciła go na starą wagę marki Fawag.

— Coś będzie do tego? — położyła na ladzie jogurty z żółtym serem.

— Proszę ukrajać ze pietnachę cienkich plajsterków martadeli z pieczarkami.

— No dobra — zgodziła się sprzedawczyni, choć wykrzywiła puciołowatą buziulę w grymasie niezadowolenia.

Z lodowy wyciągnęła grubą mortadelę i uruchomiła krajalnicę. Bała się używać tego zmyślnego urządzenia, choć dla niej akurat bardzo niebezpiecznego, bo raz o mało sobie palców nie uciachała. W skupieniu ukroiła Piźdzyszynowi te plasterki. Zważyła je i nabiła ich cenową wartością na kasę fiskalną.

— Co oprócz tego?

— Yy... Ósemę bochenów korszakowego chlebusia... Yy... Pionę kostków szmalca... No i tego, cztery mangaryny palemy... — dukał Lechu z kartki, bo ledwo rozczytywał własne bazgroły.

Sklepową była zdziwiona liczbą i rodzajem produktów wybieranych przez Piźdzyszyn. Na razie nie przyszło jej do głowy, by wypytać go, skąd ma na to kasę i po co mu to wszystko. Za to z półki zawalonej przeróżnym pieczywem pobrała osiem chlebów baltonowskich prosto z korszeńskiej piekarni. Smalce i margaryny też przyniosła. Dodała te żywnościowe artykuły na kasie.

— Poza tymi rzeczami coś więcej chcesz?

Lechu jakoś nie kwapił się, żeby zgarnąć produkty z lady i załadować je do reklamówki. Zamiast tego odczytał coś tam sobie z karteluski i tak gadał:

— Tera będzie półtorej kilo tudek z kuraka... No i taka sama ilość świeżych pęt kielbacy zwyczajnej.

„Ciekawe, czym on za to zaptaci?” — przemknęło nagle sklepowej przez głowę. Dobrze znała Piźdzyszynę ze swojej ulicy i wiedziała, że u niego ostatnio się nie przelewa. — Masz ty jakieś piniondze na te zakupy? — bez czajany wniknęła w stan jego finansów.

— No jasne! — potwierdził Lechu zawstydzony tym podejrzeniem. — Chwila, moment! — Na pewniaka wyjął z kiermany i pokazał sklepowej trzy setki — fałszywki trudne do rozpoznania na pierwszy rzut oka.

Lechu zarząbał je Rudemu, swojemu młodszemu braciakowi. Rudy na te fałszyfakty kiwał Rusków i Armeńców z korszakowego bazaru.

— A co, to już w opiece zapomogli wyptacili? — uczepiła się sprzedawczyni. — Czy twoja matka znalazła jakąś zyskowną robotę i świętować będziecie? A może dla ojca paczkę żywieniową na święta chcesz wystać?

— Nie pani sprawa! — odciął się Lechu i skitnął fałszywki w kieszeń bojówek.

Ekspedientka nie skumała się, że to lipna kasiora. Zważyła i zapakowała w jednorazówki to, czego życzył sobie Piźdzyszyn.

— Uff!... — westchnęła i obtarła kroplę potu spływające z czoła. — Będzie coś dalej?! — zapytała z nadzieją, że Lechu o nic więcej już nie poprosi. Była wymęczona ośmiogodzinnym dniem pracy. Zmianę zaczęła o czwartej z rana, a skończyć miała punkt dwunasta.

— Dwie konserwy turystki — kupował wciąż Piźdzyszyn, jakby nic sobie nie robił ze zmęczenia sklepowej — cebulasta metka, pasztetowa i kilo pomidorów.

Zgodnie z dyspozycją sprzedawczyni zapodała konserwy turystyczne, kiszkę pasztetową, metkę cebulową, jak i naważyła pomidorów. Lechu tak jeszcze z dwadzieścia minut pędzał ekspedientkę wzdłuż i w szerz po spożywczaku. Do sklepu zdążyła już przyjść druga sprzedawczyni — kurduplowa blondyna. Na zapleczu szykowała się do zastąpienia matki Cina i Bobka, jak tylko ta skończy obsługiwać tego młodego cudaka. Najwyższa pora na zmianę na stanowisku pracy, bo kasa fiskalna zsumowała wartość poszczególnych artykułów i druknęła długi paragon z zakupów Piźdzyszyn.

— Sto pięćdziesiąt się należy... — na zwieńczenie transakcji ogłosiła sklepową sumę do zapłaty. W duchu zaklęła: „To i chwila, a nogi całkiem by mnie w dupę wlały”.

Mimo umęczenia cieszyła się, że tuż przed fajrantem trafił się jej taki dobry klient. Ledwo co widać ją było zza lady zastawionej produktami, jakich zapragnął Lechu.

Piźdzyszyn nie rozkładał swojej reklamówki, bo tak naprawdę nie chciał niczego kupować.

— Pier-wszy ap-ri-lis! — przesylibizował te dwa wyrazy w odpowiedzi dla zabieganej sprzedawczyni, kiedy z wystawioną dłonią czekała na jego forszę.

Wnet zawinął się na pięcie i wybył ze spożywczaka, a kupa towaru została na ladzie.

Mimo że faktycznie był tego dnia pierwszy kwietnia, to zmachaną ekspedientkę zamurowała po usłyszeniu takiego bezczelnego tekstu. Podwójnie jej zatkało kakao. Raz, że przez wygłup Lecha odebrało jej mowę. Dwa, że od tygodnia hemoroidy ją gnębiły i obecnie cierpiała na klockowe zatwardzenie. Jakby tego było mało, dobił ją dziadyga — jedyny mężczyzna stojący w sklepie. Nie zatrzymał Piźdzyszynę i nie złoł mu skóry, tylko się po głupieniu chichotał i mądrzył.

— Cha, cha, co on, jaki szajbnięty czy taki niedostrugany?... — robił sobie podśmiechujki z Lecha i pukał się w czoło.

— Ten taja obstrzyżony na Kodzaka — zapułała się jakaś kobieta z kolejki — musi się tu wrócić! Bo co, bo ja będę teraz tak stała i czekała, aż to po nim sprzątniecie?!

— Kto to będzie układał?! — jęczała druga sprzedawczyni, gdy zobaczyła zawaloną ladę. — Tak, łapajcie go państwo! Trzeba, żeby ten chamowiec nauczył się kulturalności.

A Lechu Piźdzyszyn z bananem na pryszczatej gębie bujał się do swojego bloku. Gdy pomykał po betonowych płytach kolejowej ulicy Reymonta, myślał o rodzonym tatuśce, Starym Piźdzyszynie.

Lechu wspominał, jak to było po piętnastym dniu każdego miesiąca, kiedy w biurze PKP za podpisem na liście wtykano tatuśce do ręki kopertę z pensją. Jak później Stary Piźdzyszyn, w wymiętym konduktorskim mundurze i z kolejarską czapką na bakier, szagał pierwszy przez Korsze na spanie do chaty. Jak z lekka się wtedy zataczał, ręce trzymał w kieszeniach, a łeb miał spuszczonej i ślipia na wpół przymknięte. Jak tuż za nim, w rządku od najstarszego do najmłodszego, wlekli się Lechu, Rudy, Becia i Heniek. Jak objuczeni kilkoma torbami — tak ciężkimi, że aż ledwie je nieśli — coraz bardziej zostawali w tyle za tatuśką i oddalali się sami od siebie.

JAKUB MICHALCZENIA — urodzony w 1986 r. w Kętrzynie. Dzieciństwo spędził w kolejarskim miasteczku Korsze. Obecnie związany z Olsztynem. Autor zbioru opowiadań „Korszakowo”, laureat konkursu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich „Olsztyński Debiut 2016”.

VADIM MESYATS

Narzeczoncy

Przełożył Krzysztof D. Szatrawski

Oświadczyłem się jej, bo dobrze śpiewała. W sumie to podśpiewywała z magnetofonem w Toyocie Camry wziętej na kredyt, ale robiła to dźwięcznie i z duszą. Wystarczyło jej pięć minut, aby skupić na sobie uwagę. A ile czasu trzeba, by zdecydować się na ożenek?

— I've got the power — darła się Selma, wybijając dłońmi rytm na kierownicy i zanosząc się śmiechem.

Przejeżdżaliśmy przez przedmieścia Newark wymalowane symbolami podwórkowych gangów: niepozorne komunalne osiedla z czerwonej cegły, obalające amerykańskie mity. Marzycieli spotyka się tu rzadko, głównie wśród nowo przybyłych. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Nauczyliśmy się całkiem dobrze orientować w krajobrazie stacji benzynowych i „Macdonaldsów”.

Selma Wirt nie była zadowolona z siebie. Kończyła uniwersytet Rutgers, ale za mąż nie wyszła. Na pracę po dyplomie widoków nie było. Po śmierci ojca mieszkali z matką i siostrą w South Orange i jakoś wiązały koniec z końcem. Mężczyzn z dochodem poniżej piętnastu tysięcy dolarów rocznie nie zaliczała do osób interesujących, chociaż pozostawali oni w kręgu jej znajomych. Przerazała ją myśl, że każdy z nich uważa za możliwe, że po restauracji pójdzie z nim do łóżka.

— A co jeszcze? — pytałem zdziwiony. — Drugą restaurację?

— Kino — odpowiadała drwiąco. Lubiła dobrze zjeść.

Selmę Wirt poznałem podczas Wielkanocy, podczas rosyjskiej Wielkanocy w Nowym Jorku. Pewien bogobojny pisarz oznajmił mi, że jeśli uważam się za Rosjanina, to te święta powinienem obchodzić. Była pierwsza w nocy. Ocenilem, że zakończyłem już zgodny ze zwyczajem post. Przekartkowałem książkę telefoniczną, wypisałem adresy rosyjskich cerkwi, złapałem taksówkę i ruszyłem w miasto. Ostatnim punktem była prawosławna cerkiew na Bronxie, też już zamknięta. Taksówkę zwolniłem. Ciemno i nieprzyjemnie. Nie pomagały kopuły potyskujące złoto w świetle księżycy. Chwytały samoobrony po pijanemu nie włądałem.

Próbowałem sobie przypomnieć, kogo znam w tej dzielnicy. Przyjaźniłem się z szesnastoletnią Anką Białopolską i bardzo tęskniłem. Przyjaźniłem się z dziewiętnastoletnią Lenką Lewińską i za nią także tęskniłem. Lenka mieszkała bliżej, więc skierowałem się do niej. Świąt nie obchodziła, ale nie spała. U Lewińskiej była przyjaciółka. Drobna, niespokojna, chichocząca. Dobrze się uzupełniały. Melancholijna, lekko pulchna Lenka i ruchliwa Selma Wirt. Przyjęła rolę łobuziaka i, nie oglądając się na schematy, dobrze się w nią

wczuła. Kokietowała, kaprysiła, domagała się komplementów. Nie należałem do mężczyzn, na których to działa. Przysiadłem się do Lewińskiej, próbując odzyskać dawną przychylność, ona jednak udawała zmęczoną.

Skończyło się wino, zacząłem się zbierać. Metro łada moment powinno było ruszyć. Włożyłem już buty, gdy Selma podniosła głos:

— Jak to do domu? A miłość? — I histerycznie zachichotała.

Pomyślałem, że nie mam na co liczyć, ale zostałem. Selma zatrzymała mnie przez dwie godziny na sofie w living roomie, zostawiła numer telefonu i wyszła. Szczególnej natarczywości nie przejawiałem, czując, że nie jest gotowa. A nawet jeśli jest, to ja nie całkiem. Byłem w białej bieliźnie, którą wbrew przyzwyczajeniom założyłem z okazji świąt, a teraz się wstydzilem. Nie mój styl.

— Ty zawsze tak?

— Tak, z zasady.

— A inne zasady też masz?

— Nie.

Prowadzałem Selmę do restauracji na Manhattanie, odprowadzałem do domu. Zaczęliśmy spędzać mnóstwo czasu na telefonicznych rozmowach i na przyjęciach, ale romans się nie kleił. Brakowało zainteresowania.

Czasami przyjeżdżała, zaprzyjaźniła się z moimi przyjaciółmi. Kiedy się zjawiała, prosiła o kaczkę po pekińsku z chińskiej knajpy. Lubiła publicznie się obnażać, fotografować. Kumpli to cieszyło, ale w końcu spowszedniało. Pozowała i flirtowała z adoratorami na prawo i lewo. Na intymność z Selmą zdążyłem machnąć ręką. Czy ja jestem maniakiem? Wyciągnęła od przyjaciela paczkę erotycznych magazynów, które znalazł w piwnicy. Zaprowadziła towarzystwo na perwersyjny striptiz. Jej życie przepelniał jakiś dziwny erotyzm. Podejrzywałem, że coś pod tą maską ukrywa.

W czasie wakacji Selma pojawiła się u mnie. Spytała, czy może zamieszkać. Nie na długo, na tydzień. To było apogeum upadku.

Kobiety zwykle wykurzałem pijaństwem. A kiedy odchodziły, ogłaszałem prohibicję. Z Selmą chwyt nie zadziałał. Zachwycała się moimi ucztami, widząc w nich doskonały przykład nieumiarkowania. Za piwem nie przepadała, alkoholu nie piła. Uczestniczyła w biesiadach, opowiadała anegdoty. Miała zwyczaj wchodzenia do łazienki, kiedy brałem prysznic. Odsunąwszy zasłonkę, uważnie mi się przyglądała. Woda pryskała jej na twarz, rzucałem w wojerystkę mydlaną pianą, a ona tylko chichotała. Po domu chodziła nago. Pokazywała

czasami swoje krągłości przez okno i krzyczała, że jest piękna. Przechodnie czasami machali dłońmi, czasami spluwali.

Sypialiśmy ze sobą. Na podłodze. Na materacu nieznanym na ulicy. Zaspokajaliśmy się wyrafinowanymi pieszczotami. Co ją powstrzymywało przed seksem — nie rozumiałem. Żyła pornograficznymi wyobrażeniami, ale spróbować nie chciała. Nie miałem zamiaru zajmować się psychoanalizą. Nigdy w to nie wierzyłem. Nie jestem doktorem. Ani lekarzem, ani chorobą. Wyrosłem na innej literackiej tradycji.

W końcu rozczłuszczony bezskutecznością usiłowań, uciekłem do hotelu niedaleko Holland Tunnel. Koniak sprzedawano naprzeciwko, życie kipiło. Za trzy dolary Pakistańczycy podłączali tuzin erotycznych kanałów dla zjeżdżających tu par. Słuchałem okrzyków i westchnień zza ścian, piłem koniak i cieszyłem się wolnością. Selma znalazła mnie przypadkiem. Chcąc sprawdzić, czy moja lokatorka nie zwolniła mieszkania, zadzwoniłem do domu. Na aparacie wyświetlił się numer. Wirt przyjechała po mnie ze znajomym bandytą i przewieźli mnie do mojego mieszkania.

Z czasem o wszystkim zapomniałem. Właśnie wróciłem z Moskwy i z radością zapraszałem starych znajomych. Oblewaliśmy spotkanie u mnie, w Jersey City. Przyjechała i Selma. Zachowała się wstrzemięźliwie. Powiedziała, że ma samochód i powiozła mnie do mieszkania, które wynajął jej boyfriend, profesjonalny gracz karciany.

— Wszystko czego ode mnie chce, to głaskanie po plecach — skarżyła się Selma. — Nie jestem masażystką. Zasluguję na coś więcej.

— Pięknie śpiewasz — odpowiedziałem. — Będziemy śpiewać razem. Najpierw w Brighton, potem w Taj Mahal.

Dotarliśmy do mieszkania, które okazało się przestronne i puste. Selma pokazała kilka jaskrawych sukienek kupionych jej przez przyjaciela i futro z soboli.

— To obietnica — powiedziała. — Odda mi, jeśli będę mu posłuszna.

— Aleś wdepnęła! To nudziarz.

Na lodówce stała litrowa butelka likieru Kahlúa. Z radością po nią sięgnąłem, kontynuując myśl.

— Zjemy się. Jesteś piękna. Ja mam perspektywy. Doskonała para.

Selma się uśmiechała, ale z wyrazu twarzy można było odczytać, że mojej propozycji nie odrzuca.

— Zamieszkamy u mnie. Bliżej miasta. Znajdziesz posadę ekonomistki w jakiejś firmie. Ja wrócę do swojej kancelarii. I jak?

— Nuda. Zwłaszcza posada ekonomistki.

Dolałem likieru.

— W takim razie zdobędziemy sławę. Ty pomożesz mnie, ja tobie. Rodzina to wspólnota. Zostań moim współwojownikiem, Selmo Władimirowna.

Zdarzało mi się coś podobnego w młodości. Ze skrzynką piwa obdzwaniałem koleżanki w całym Sojuszu i proponowałem małżeństwo. Kolegów to bawiło. Staratem się brzmieć poważnie. Nie była to dla mnie wyłącznie gra. Była to, jeśli można tak powiedzieć, rosyjska ruletka. Rano nie było mi wcale do śmiechu. Na szczęście nie traktowały mojego pomysłu serio.

Tym razem wizyta w ojczyźnie była wyjątkowo udana. Z noclegami na milicji, rozbitą twarzą i złamanym nosem, miłością na ławkach w Ogrodzie Nieskucznym i na Marsowym Polu. Dusza domagała się spokoju. Ciało żądało głaskania po plecach. W rozpaczy rzuciłem się ku Selmie Wirt. Pijany i szalony.

— Pójdziemy do twojej mamy — powiedziałem. — Oświadczę się. Zatrzymaliśmy się w najbliższym sklepie, gdzie kupiłem dwa garnki po dwadzieścia pięć dolarów, aby wnieść konkretny wkład w przyszły rodzinny byt. Przedstawiłem przyszłej teściowej Alle Wiktorownie istotę swych zamiarów. Mama wdychała i drżała. Selma chichotała. Kobiety otrzeźwiały mnie kawą. Niemal z zalem namówiłem Selmę, by odwiozła mnie do Jersey City — w tym stanie miałbym poważne kłopoty z przemieszczaniem.

— Rachunek za garnki zachowałeś? — spytała, kiedy podjechaliśmy pod dom. — Na co nam taka tandeta?

— Twojej mamie garnki się spodobały — powiedziałem z urazą w głosie.

Po kilku dniach zadzwoniłem do Ałły Wiktorowny, by przeprosić za pojawienie się u niej w nienajlepszej kondycji.

— Przeszedłem prosto z samolotu, oszołomiony... Jakoś głupio wszystko wyszło — powiedziałem. — Zdaje mi się, że Selma mnie nie chce. Kocha innego. On podarował jej dwie sukienki i futro. Wynajął mieszkanie... Jakoś muszę się pogodzić z wyrokiem losu.

Mamuśka w zasadzie się zgadzała, zauważając, że jednak bylibyśmy dobrą parą. Ona piękna, ja perspektywiczny. Może jeszcze wszystko się uda. Obiecałem czekać i nie tracić nadziei.

Wieczorem zadzwoniła Selma. Jej ton się zmienił. Śmiała się rzadziej. Opowiadała o instytucie, kłęta karciarza. Od ostatniej wizyty się nie pojawiał, nie dzwonił. Powiedziałem, że rozmawiałem z mamą.

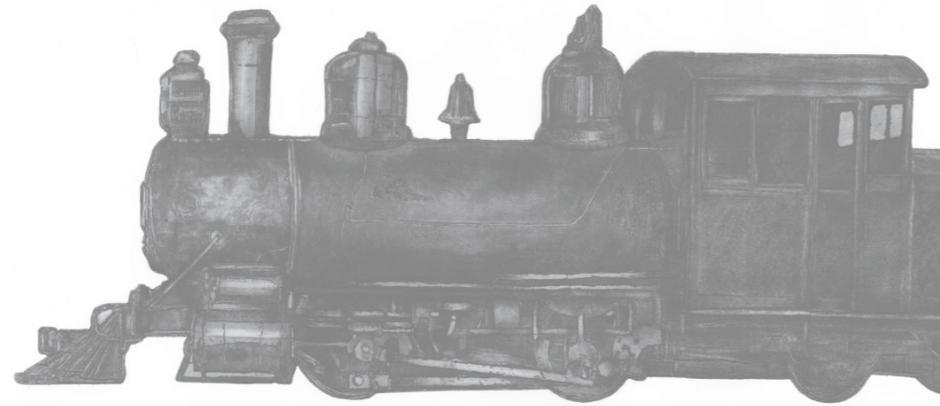
— Aaa, to... Powiedziała mi. Umiesz zrobić wrażenie. I w ogóle cwany skurwiel z ciebie. Wykręcisz się genialnie. Ślub odwołany?

Zadumałem się. Ani wykręcanie, ani robienie wrażenia nie było moim celem. Cieszyłem się, że ożenek udało się odwołać. Było tak, jakbym ożenił się i w tej samej chwili rozwiódł. Dwie radości — jeden bukiet.

Wkrótce Selma wypowiedziała wojnę mojemu pijaństwu — kupiła jakieś otepiające tabletki. Zrozumiałem, jak wielkiego błędu omal nie popełniłem. Takie kobiety należy omijać na kilometr. Mieszkania w hotelach nie zniósłby mój budżet. Bo jak inaczej? Nie mógłbym z nią przecież do końca życia mieszkać pod jednym dachem.

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Święto poezji na Litwie



Litewski festiwal Wiosna Poezji (Poezijos pavasaris) jest imprezą o wieloletniej tradycji. Organizowany nieprzerwanie od 1965 roku jest jednym z najstarszych i najciekawszych festiwali poetyckich. Tegoroczna Wiosna Poezji odbyła się tradycyjnie w drugiej połowie maja już po raz pięćdziesiąty drugi. O wyjątkowości tego festiwalu decydują przestrzeń, tradycja poetycka oraz szczególne znaczenie, jakie na Litwie przywiązuje się do ojczystego języka, co jest zrozumiałe, jeśli choćby pobieżnie zna się historię litewskiej kultury. Na Litwie poezja jest obecnie ważnym elementem dbałości o język litewski, który coraz częściej okazuje się ostoją patriotyzmu i tożsamości zbiorowej. Tak rozumiana działalność kulturotwórcza mogłaby być wzorem nie tylko dla nas.

Festiwalowe imprezy Wiosny Poezji zlokalizowane są w ośrodkach kulturalnych całej Litwy oraz w wielu ośrodkach poza jej granicami, między innymi w Londynie, Wiedniu czy Warszawie. W Polsce poza stolicą, gdzie jeden z dwóch wieczorów poezji litewskiej odbył się na Uniwersytecie Warszawskim, wydarzenia litewskiej wiosny zorganizowane zostały w Sejnach i w Puńsku. Wbrew modnym obecnie skrótom myślowym promocja nie jest w tym przypadku najważniejszą kwestią. Jeżeli już mielibyśmy doszukiwać się pozaartystycznych kontekstów, to słowami kluczowymi powinny być raczej edukacja i dyskurs.

Wszędzie, gdzie odbywają się imprezy tego niezwykłego festiwalu, litewska poezja ożywa w przenośni i dosłownie. Co roku wydawana jest imponująca antologia tekstów poetyckich i esejów poświęconych poezji, ogłaszany jest laureat najlepszej książki poetyckiej minionego roku, nagradzani są litewscy tłumacze i przekłady poezji litewskiej na różne języki. Organizowane są odczyty i wycieczki, happeningi, spotkania i konferencje. Poeci czytają swoje wiersze podczas rejsu po Bałtyku w okolicach Kłajpedy, gdzie serię wydarzeń organizuje słynny rzeźbiarz i prozaik Juozas Šikšnelis. Uroczyste spotkania odbywają się także w muzeum Kristijonasa Donelaitisa w Czystych Prudach (lit. Tolminkiemis). W działania poza granicami Litwy chętnie angażuje się młodzież i studenci filologii litewskiej. Różnorodne działania artystyczne i intelektualne sprawiają, że poezja ożywia kulturę współczesnej Litwy, zajmując miejsce wśród sztuk wyzwolonych i stając się językiem nowoczesnej świadomości. Założenie to znajduje swój

wyraz także na poziomie organizacyjnym festiwalu — cykl spotkań wieńczy bowiem uroczysta ceremonia, podczas której na dziedzińcu Uniwersytetu Wileńskiego poezja spotyka się z nauką.

Wiosna Poezji promuje język litewski — to naturalne — ale poezja jako forma poznania musi jednak przekraczać granice języka. I taka tendencja znalazła czytelne odzwierciedlenie w programie festiwalu. Największe grono wśród zaproszonych gości stanowią poeci z sąsiednich krajów, nie brakuje jednak twórców piszących w różnych, często odległych geograficznie i historycznie, językach. A kiedy słyszy się wiersze przywiezione ze wszystkich kontynentów, kiedy znajduje się wspólne kadencje i obrazy, kiedy metafora okazuje się jednakowo nośna w różnych językach, można dosłownie odczuć, że właśnie poezja jest fundamentem języka i kultury. Konsekwencją jest otwarcie na kulturę sąsiadów i lepsze zrozumienie własnej.

Słowo poetyckie to materia niezwykle delikatna, ale i kryjąca potężną energię. Z jednej strony w poetyckiej wypowiedzi każdy autor i każdy czytelnik może odnaleźć najbardziej osobiste wątki, z drugiej to właśnie poezja wyznacza granice języka i świata, pełniąc zależnie od potrzeb rolę narzędzia, metody albo celu. W wędrówkach przez poezję Litwy można odnaleźć nie tylko ślady postaci historycznych: pastora Kristijonasa Donelaitisa, biskupa Antanasa Baranauskasa, który pisać zaczynał po polsku, a w dojrzałym okresie tworzył po litewsku, czy zmarłego przed kilkanaście laty Justina Marcinkeviciusa, prezesa Związku Pisarzy Litewskich i działacza niepodległościowego. Przede wszystkim jednak festiwal jest okazją do spotkań ze współczesnymi poetami Litwy, wśród których byli Lidija Šimkutė, Ineza Juzefa Janonė, Kornelijus Platelis, Eugenijus Alisanka i Vitalij Asovskiy. Wspólne peregrynacje po miejscach, o których nie sposób zapomnieć, po kraju, do którego Mickiewicz zwracał się we wstępnej apostrofie swego wielkiego poematu, po ziemi Czesława Miłosza i dziesiątków wielkich poetów piszących w różnych językach, choć przecież często rozumiejących się w pół słowa, pozwalają odczuć, jak bogatą duchowo, wielokulturową i otwartą na przyszłość krainą jest współczesna Litwa. Poezja pozwala to dostrzec wyraźniej.

INEZA JUZEFA JANONĖ

Wiersze z tomu *Tarp Scilės ir Cahribdės (Między Scyllą i Charybdą)*

przełożył Krzysztof D. Szatrawski

* * *

ten jedyny raz
jesteśmy na tym świecie
oblewając się nawzajem
oddechem młodzieńczym
tyś moim jedynym
i jam dla ciebie jedyna

i ten jedyny raz
jak trawa
bez krwi
ostrą kosą
raz za razem
skosi nas
płatki śniegu na dłoni
spadliśmy
z nieba

* * *
odbicia chmur na wodzie
skotłowały się i odplynęły
zapach niewidzianych kwiatów
upajał nas
dotykając się
rozpuszczaliśmy się w nich
by o świecie zmartwychwstać
nad naszymi gładkowłosymi głowami
pochylały się zielone gałęzie
lazurowe ptaki śród listowia
śpiewały dźwięczne pieśni
co nam chciały powiedzieć i co nam obiecały
miliardy ludzi na ziemi
ale nawet jeden z nich
tych ptasich pieśni
nigdy nie usłyszał

* * *

południe pomalowało zielenią
nasze oblicza
śpiewasz poruszająco i wyraźnie
śpiewaj więc bez końca
śpiewaj położywszy głowę
na moich kolanach
abym uwierzyła
w szczęśliwe zakończenie bajki:
kiedy wszyscy zasiądziemy
na ławce
ramię w ramię
pod zmienną
i wieczną
szatą
nieba

* * *
obłoki obłoki
siwe i jasne
całe bez błyskawic
i kwiaty ciche bezmiernie
leżą na piasku
skupiwszy spojrzenie na wnętrzu
o czymś mi mówić
o czymś milczą
samą siebie jak wę-
zeł ciągnę po piasku
co wcale nie jest łatwe
stąd otarcia
ale się wgrzyzł
właśnie we mnie się wgrzyzł
i przyrósł

INEZA JUZEFA JANONĖ — pisze poezję, prozę i eseje, wiele publikuje w prasie kulturalnej, wydała 15 książek. W latach 1990-1997 wraz z mężem Jurgisem Buitkusem prowadziła wydawnictwo Akcentai, które wydawało tygodniki „Akcentai” i „Atšvaitai”. Inicjatorka Nagrody Literackiej im. Jurgio Buitkusa. Od 2002 r. należy do Związku Pisarzy Litwy.

LIDIJA ŠIMKUTĖ

Chabrowe niebo

przełożył Krzysztof D. Szatrawski

KRZYK PTAKÓW

przenika
pierwszy błysk światła

słońce skrywa
swe złoto
w drzewach

JAKŻE PIĘKNE

są początki
rzeczy

spoglądam
na błądy księżyc
na niebie o świcie

nie pytaj dlaczego

DZWON

opuścić swój kościół
bezmyślnie
w poszukiwaniu zgubionych
godzin

CZAS SIĘ OCIĄGA

aby zmyć słowa

kiedy liść śni
wewnątrz liścia

kwiat podnosi głowę
z rozproszonego snu
i spotyka słońce

SZALONE KOBIETY

tulą nowonarodzone bochny chleba
do piersi

przeplatają szerokie spódnice
z workami ziemniaków
i cebuli

dziewczęta z głowami jak sałata
układają
świeżo zebrane kwiaty

haftują sny
śmiechem nasyconym słońcem

KOCIE ŁBY

Wilna
odkrywają stulecia

każdego poranka
zanim miasto się zbudzi
samotny spacer

nieopodal wędnących bżów
kobieta szeleści
w śmieciach

sortuje pojemniki
do plastikowych toreb

siedzi na ławce w parku

karmi ptaki
swym głodem

NA STATKU SMOKA

wiruje
ze słońca spiralami
we włosach
chwytą
chabrowe niebo

i spogląda w sen
przez ruiny okna

CO DZIEŃ RANO

o brzasku
miotłami własnej roboty
mężczyźni i kobiety
zamiatają ulice
miasta

w przerwach mężczyźni siadają
pod parkanami domów
aby zapalić

twarze kobiet
pobrużdżone przez zmartwienia
gromadzą kurz
zmęczenia

LAMENT WIATRU

napełnia niebo
kruczymi skrzydłami

krwawy klon
rozpościera się
by zakryć słońce

ptasi kolaż
otwiera chór

DŁUGA BIAŁA NOC

przechadza się po suficie

drzwi powtarzają
wszystko co usłyszały

okna wpatrzone
w pustą ulicę

perski kot
jak duch na chodniku

Anahit Scelsiego

wchodzi na ściany

W SAMYM ŚRODKU – GALERIA VARIARTA:

Malarnik EDA YUKOV

Wtorek. 9.00 rano. Myślę czwarty dzień o tym, co właściwie chcę napisać, a może bardziej o tym, co powinnam. Rodzi się konflikt pomiędzy chcę a powinnam, bo przecież jedno z drugim wcale nie musi iść w parze. Chcę prosto, jasno, klarownie, a w głowie rodzi mi się makaroniczna tyrada i jakaś wewnętrzna siła odsyła mnie do słowników i autorytetów, i sypcha w otchłań bełkotu. Czasem zastanawiam się, czy droga do znalezienia najprostszej formy zawsze jest taka długa i zawiła. Więc dobrze... O czym chcę napisać? Chcę napisać o Malarniku, o nowej pracowni, o tym, jak wyglądała tam na początku moja praca. A o czym powinnam napisać... o sobie i o tym, co autor miał na myśli, a najlepiej językiem takim, żeby połowa za groma nie zrozumiała, o co chodzi. Pojawia się myśl: a może warto znaleźć kompromis pomiędzy chcę a powinnam? Może warto? Chyba nie chcę... Nie, nie chcę.

Zacznę więc od nowej pracowni. Kiedy byłam jeszcze na studiach, marzyłam o własnej pracowni. Miała być jasna, z dużymi oknami, najlepiej w centrum miasta. Taka, w której będę mogła malować duże formaty, realizować niezwykle projekty i popępniać arcydzieła. Zawsze wydawało mi się, że to przestrzeń, miejsce, w którym pracuję, mnie ogranicza, że to, co robię, nie jest do końca takie, jakie bym chciała ze względu na brak odpowiedniej przestrzeni.

Po kilku latach poszukiwań idealnego miejsca moje marzenie się spełniło. Urząd Miasta ogłosił konkurs na przydział pracowni twórczych i udało się. To było to! Centrum miasta, ściana okien, wysokie pomieszczenie, fantastyczny widok, nie mogło być lepiej. Już podczas remontu snutałam plany, robiłam szkice i widziałam te wielkie niezwykle dzieła w mojej głowie. Czas mijał, remont się zakończył. Przewiozłam do mojej pięknej, nowej pracowni wszystkie narzędzia, materiały, sztalugi, puste podobrazia i obrazy. Wszystko poustawiałam i urządziłam. Przywiozłam nawet kanapę, żeby było mi wygodnie. Miałam wszystko, co było mi potrzebne, naprawdę wszystko i okazało się, że mijał dzień za dniem, a moje dalekosiężne plany gdzieś po drodze zszarzały, straciły blask, nie były już takie wspaniałe, wyblakły, a właściwie rozplynęły się i zniknęły zupełnie... Tak naprawdę byłam ja i była moja wymarzona pracownia i całkowicie pustostan w mojej głowie. Zero pomysłu, zero entuzjazmu i przerażająca myśl, że już nic więcej nie namaluję. Totalny wewnętrzny paraliż.

Wtedy pomyślałam: „Hm... może tu jest za czysto, może muszę tu troszeczkę pobrudzić, żeby było tak bardziej pracownianie, może ten porządek nie sprzyja rozmachowi”. Zaczęłam wykonywać zwykłe warsztatowe prace. Zakładałam grunty, robiłam podmalówki i takie tam inne mało istotne rzeczy. Pustostan trwał. Podałam się w końcu... Nie chciałam już wielkich projektów i popępniać arcydzieła, chciałam czegokolwiek... Nawet małego, ale mojego. Wtedy zrozumiałam, że problem tkwi we mnie. Nie w warunkach dookoła, braku lub nadmiarze czegoś na zewnątrz, a tylko i wyłącznie we mnie. Stwierdziłam wówczas, że mam sporo lekcji do odrobienia z kreatywności i przełamywania ograniczeń na etapie głowy i wzięłam się za odrabianie lekcji. Malowałam różne rzeczy. Nie byłam tym zachwycona. Wszystko było jakieś chaotyczne i niespójne. Trochę tego i trochę tamtego. Miałam wrażenie, że we mnie jednej jest wielu twórców, ale nie ma tam mnie. Jakbym potrafiła mówić wieloma językami i nic nie miała do powiedzenia. Było ciężko. Nie mogłam dojść, o co chodzi. Szukałam różnych rozwiązań w mądrych książkach, aż nagle w głowie pojawiła mi się myśl: „Jeśli chcesz zrobić szpagat, to musisz codziennie ćwiczyć swoje ciało, nie czytać, jak to zrobić i nie patrzeć jak robią to inni, musisz to po prostu zrobić, od samego czytania się nie rozciągniesz”. I tak rodził się pomysł na Malarnik – projekt, wyzwanie. Założyłam, że codziennie będę robiła jedną pracę. Niedużą, ale skończoną. Sfotografuję ją i każdego dnia umieszczę na stronie internetowej i tak przez 365 dni. Do pierwszej trzydziestki się przygotowałam. Zawsze lubiłam malować architekturę i szło mi to lekko, więc odszukałam zdjęcia z różnych podróży, żeby nie mieć poczucia, że robię coś bardzo ważnego i nie zniechęcić się. Po ok. trzydziestu dniach nadszedł kryzys i wykonałam kilka prac na siłę. I w końcu nastąpił punkt zwrotny! Opuściłam sobie. Przestałam robić to, co powinnam i udowodniać sobie, że umiem to czy tamto, podświadomie myśleć, czy się podoba czy nie, czy się wpisuje czy nie. Nie miało to znaczenia. Zaczęłam robić to, co chcę. Jeśli coś mi nie wyszło, wiedziałam, że to nie arcydzieło, tylko jedna z co najmniej 365 prac, które wykonam w tym roku. Następna będzie lepsza. To przeskalowanie było genialne!

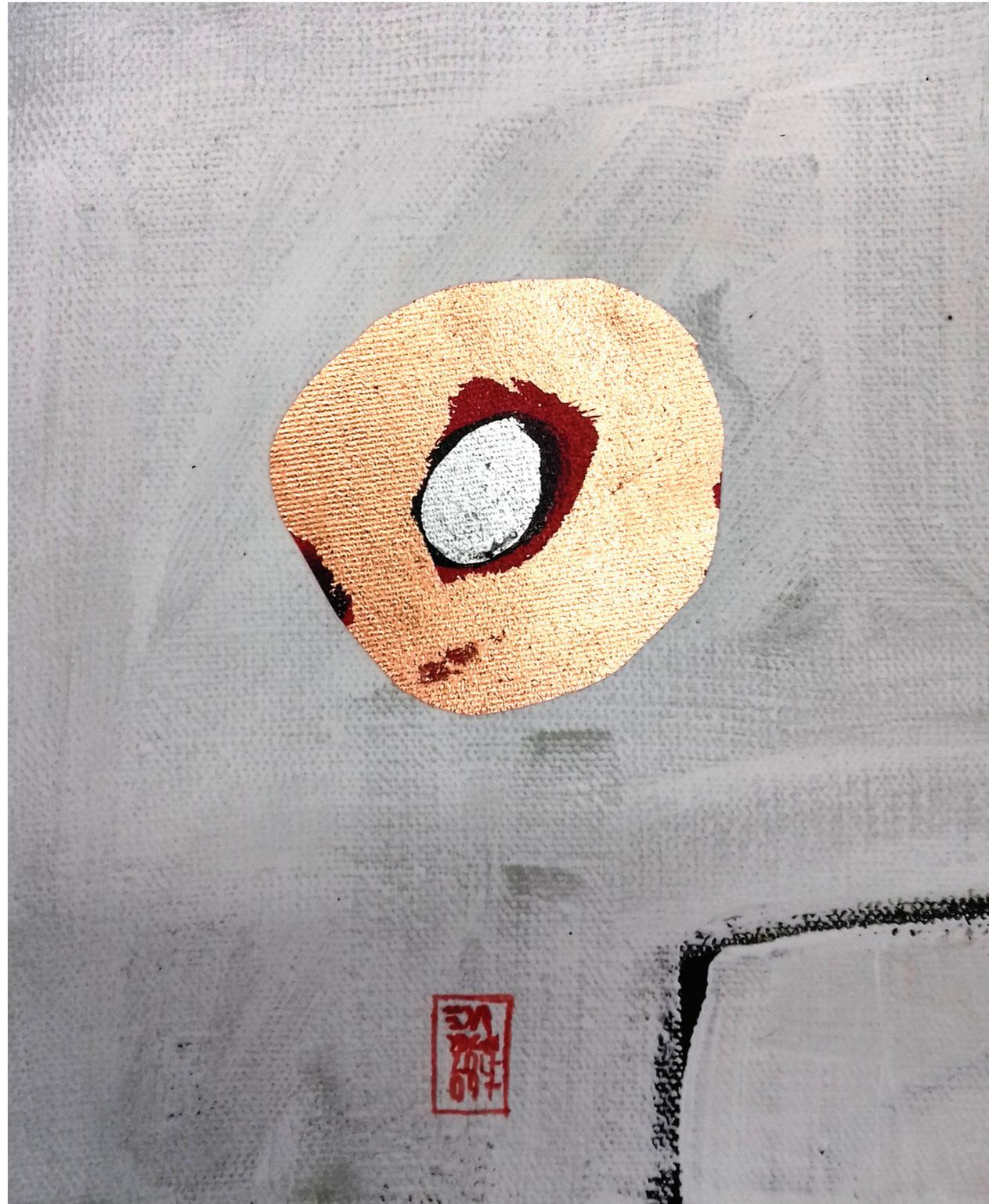
Dziś powstanie 126 praca z Malarnika. Przy okazji powstało dużo innych rzeczy i ciągle to trwa. Mam wrażenie lekkości i równowagi. Odważyłam się przy okazji na to, o czym również zawsze marzyłam, a mianowicie odenwałam się od przedstawieniowości. Do końca projektu jeszcze dużo czasu, ale mam nadzieję, że wytrwam.

edayukov.com

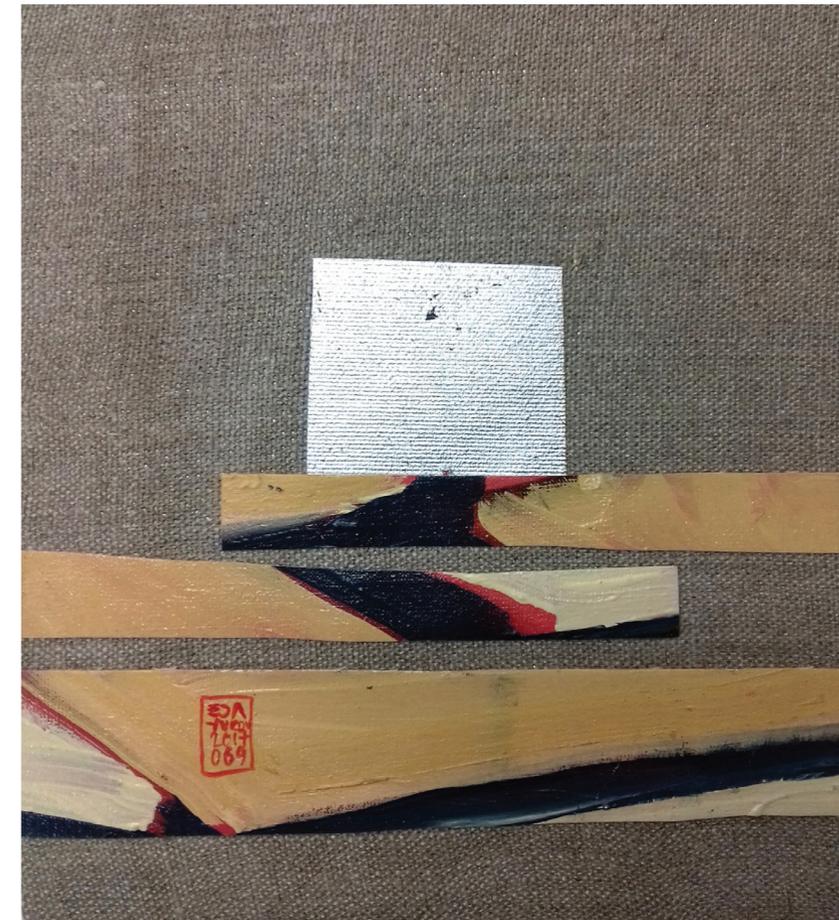
LIDIJA ŠIMKUTĖ – dwujęzyczna poetka i tłumaczka urodzona na Litwie, po pięciu latach spędzonych w Niemczech, w 1949 r., zamieszkała w Australii. Studiowała w USA i na Uniwersytecie Wileńskim. Opublikowała trzy książki poetyckie po litewsku, 9 zbiorów dwujęzycznych, w tym przekłady na niemiecki, polski i japoński, a także wiersze w pismach literackich i antologiach. Jej utwory stały się częścią kompozycji muzycznych i tanecznych (m.in. w Sydney Opera House 2015). Wiersze przetłumaczono na szesnaście języków, w tym w książce prof. J. A. Krikštopaitisa „Lives of Eminent Individuals” (Vilnius 2016). Cykl *Chabrowe niebo* pochodzi z dwujęzycznego tomu poezji *Kažkas pasakya/Somehing is said*.

EDA YUKOV Malarnik

Eda Yukov, *Malarnik 058*



Eda Yukov, *Malarnik 097*



Eda Yukov, *Malarnik 069*

WIESŁAWA ZIÓŁKOWSKA, red. IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Nasz dom nie kończy się za drzwiami mieszkania...

Wraz z mężem bardzo świadomie zamieniliśmy swoje spółdzielcze mieszkanie w betonowym bloku na kamienicę w śródmieściu. Nie przestraszył nas uliczny hałas, bo jest to coś, co charakteryzuje miasto. Ważniejsze dla mnie jest to, że moje miejsce zamieszkania jest świetnie skomunikowane. Wszędzie mam blisko — rzut beretem do teatru, filharmonii. Nie przeraził nas nawet stan klatki schodowej. Byliśmy przekonani, że od wojny nie było tu żadnego remontu. Uznaliśmy, że poradzimy sobie z tym. Nie braliśmy pod uwagę faktu, że to sami mieszkańcy tak dewastują swój dom, że nie zależy im na wyglądzie otoczenia. Byliśmy przekonani, że wcześniej czy później powstanie tu Wspólnota Mieszkaniowa. Komplikacje zdrowotne pokrzyżowały nam plany wykupienia mieszkania.

W tym czasie Rada Miasta wyłączyła ze sprzedaży kilkanaście zabytkowych kamienic, w tym naszą. Była to zła decyzja dla tych zabytków. Kiedy stan zdrowia na to pozwolił, zaczęliśmy starania o przywrócenie do sprzedaży kamienicy i to się udało. Radni zdecydowali, że warto zacząć sprzedawać mieszkania w kamienicach, bo będzie to szansa na przeprowadzenie remontów. Natychmiast — wraz z sąsiadami — złożyliśmy wniosek o wykupienie naszych mieszkań. Jako właściciele mogliśmy powołać Wspólnotę Mieszkaniową i zacząć starania o remont. I tutaj chyłkę głowę przed gminą, którą reprezentuje ZLiBK, który jako większościowy — w tamtym czasie — właściciel pogodził się z naszymi planami remontowymi. W międzyczasie zwolniły się dwa lokale na parterze, które miasto sprzedało. Właściciele było więcej i co ważne jednogłośnie popierali przeprowadzenie remontu. Na początek zdecydowaliśmy o rewitalizacji klatki schodowej. Jednak od decyzji do realizacji droga nie była prosta. Kiedy zorientowaliśmy się, że ktoś musi wziąć odpowiedzialność za kolejne etapy prac, zdecydowaliśmy, że będą to „ja”.

Ta decyzja kosztowała mnie sporo nauki i wysiłku. Nigdy nie pisałam żadnych wniosków, ani nie wiedziałam, jak poruszać się w gąszczu przepisów. Przede wszystkim należało uzyskać pozwolenie konserwatorskie i budowlane. Muszę przyznać, że współpraca, zarówno z Biurem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, jak i urzędnikami Ratusza, była bardzo dobra. Starano się nam pomóc, wszelkie różnice zdań, próbowano rozwiązywać w sposób kompromisowy. I tak doszliśmy do porozumienia w sprawie malowideł w pasie lamperii. Sugerowano nam odkrycie całości malowideł i pełną ich konserwację. Naszym

zdaniem byłby to efekt niewspółmierny do poniesionych kosztów. W rezultacie otrzymaliśmy zgodę na odkrycie tzw. świadka, reszta lamperii została zabezpieczona specjalną siatką, pokryta tynkiem piaskowo-wapiennym, a malowidła naniesione przy pomocy szablonu. Natomiast malowidła w sieni wejściowej zostały odkryte w całości (a trzeba było zdjąć 14 warstw farby olejnej) i poddane retuszowi oraz pracom konserwatorskim. Kocham secesję i kiedy okazało się, że jest to czysta próbka tego stylu, radość była tym większa.

Pan Mariusz Korpacz (konserwator pracujący przy malowidłach) stwierdził, że sieni i klatkę malował artysta. Zdobienie ścian malowidłami świadczy o dbałości ówczesnych budowniczych i mieszkańców o estetykę otoczenia.

Renowacja to ogromne koszty. Staraliśmy się zdobyć jakiegokolwiek dofinansowanie. Napisaaliśmy wniosek do miasta i dostaliśmy 40 tys. zł. W stosunku do całkowitej wartości ponad 180 tys. zł nie była to oszałamiająca kwota, ale liczyła się każda złotówka. Po zakończeniu remontu ubiegaliśmy się o refundację u Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków i otrzymaliśmy ponad 31 tys. zł. Resztę sfinansowaliśmy z kredytu.

Przystępując do remontu, założyliśmy odtworzenie pierwotnego wyglądu klatki i zachowanie jak największej liczby oryginalnych elementów jej wystroju, które zostały poddane pracom konserwatorskim. Wszystkie wtórne fragmenty zostały odtworzone. I tak zachowaliśmy oryginalną podłogę i bieg schodów na ostatniej kondygnacji, która była najmniej zniszczona. Pozostały oryginalne poręcze, słupki i listwy przypodłogowe, niektóre tralki. Zachowała się także część stolarki drzwiowej, która została poddana konserwacji i drobnym naprawom — drzwi wejściowe, wahadłowe między sienią a klatką schodową oraz dwuskrzydłowe do trzech mieszkań. Pozostałe jednoskrzydłowe do czterech mieszkań zostały odtworzone na podstawie częściowo zachowanych drzwi do jednego lokalu. Dokonano rekonstrukcji także wejścia od podwórka, do piwnicy i na strych, a także okien na klatce schodowej.

Kolejnym etapem było dorabianie detali, takich jak klamki drzwiowe i okienne. Na szczęście w mieszkaniach zachowały się pojedyncze klamki, na podstawie których w odlewni mosiądzu w Tomaszowie wykonano ich repliki. W drzwiach wahadłowych były pierwotnie cztery uchwyty, z których zachował się jeden, który również posłużył do rekonstrukcji pozostałych. Na etapie dobierania osprzętu elektrycznego konserwator podpowiedział nam, że kiedyś

w secesyjnych kamienicach były mosiężne okrągłe wyłączniki dzwonne. Znalazłam takie w Internecie, ale ich cena była sześciokrotnie wyższa niż tradycyjnych plastikowych. Na szczęście tak się spodobały wykonawcy, że je zaakceptował, a nasze wyłączniki robią furorę. Postanowiliśmy zamontować we wszystkich drzwiach jednakowe zamki i nawet zrobiliśmy mosiężne odlewy szylków do nich. Problem był także z lampami — zrobiłam dużą kwerendę, jakie oświetlenie mogło być oryginalnie na klatce. Pierwotnie było ono gazowe. Fragment oryginalnej instalacji zachowaliśmy na parterze. Cienkie rurki między drzwiami wahadłowymi a tynkowym tukiem. Nawet myślałam, że znajdę replikę lampy gazowej, ale nie udało się. Obdzwoniłam muzea w Polsce i nikt mi nie mógł pomóc.

Efekt był taki, że wybraliśmy oświetlenie takie, jakie naszym zdaniem pasowało do tego wnętrza. W sieni udało nam się tak dobrze dobrać lampę, że otrzymywałam pytania, czy lampa jest oryginalnie zachowana.

Tak to dokonaliśmy tego cudu. Po nagłośnieniu naszych dokonań w Internecie można zobaczyć wiele zdjęć naszej klatki. Nawet Pani konserwator, która nadzorowała ten projekt, odbierała telefony z Polski z pytaniami o naszą realizację. Staram się śledzić podobne realizacje w mieście czy to na ul. Partyzantów, czy na ul. Mickiewicza. Pani konserwator, nadzorująca naszą realizację, pokazuje ją naszym wspólnotom i przekonuje je do podobnych realizacji. Mieszkańcy boją się takich kompleksowych remontów ze względu na koszty. Moim zdaniem przeznaczenie w budżecie miasta 500 tys. zł na pomoc dla wspólnot to bardzo mało, bo przecież ludzie przez wiele lat płacili czynsze i z tego tytułu niewiele do tej pory mieli. My płacimy cały czas na fundusz remontowy, uchwaliliśmy dosyć dużą kwotę i musimy jeszcze spłacać kredyt. Prezydent powinien tę kwotę pomocową zwiększyć przynajmniej dwukrotnie, bo większość wspólnot bez takiego wsparcia sobie nie poradzi. Nasze wysiłki zostały docenione.

Wojewódzki Konserwator Zabytków wytypował dwie kamienice, w tym naszą, do konkursu „Zadbany Zabytek”. Nasza realizacja znalazła się w pierwszej dziesiątce obiektów z województwa. Oczywiście nie mogliśmy konkurować z dużymi realizacjami sakralnymi czy pałacowymi. Dla nas było ważne, że doceniono wspólnotę. Myślę, że jest to istotne również dla innych, żeby widzieli, że warto podejmować tego typu działania.

Ja i sąsiedzi, którzy tu mieszkają, traktujemy dom jako całość. Nasz dom nie



kończy się za drzwiami mieszkania, ale jest nasz od piwnic po dach. Mieliśmy duże szczęście, że kolejni nabywcy mają takie samo podejście do kamienicy jak my. Jeśli ktoś decyduje się kupić mieszkanie w zabytkowej kamienicy, powinien liczyć się z wydatkami, które się z tym wiążą.

Komfort naszego życia po remoncie z pewnością się polepszył. Zwiększyła się także, nie ukrywam, wartość naszych mieszkań.

Nasza kamienica powstała około 1910 roku. Wtedy nasza ulica nosiła piękną nazwę Luisen Strasse, dziś to ul. Wojciecha Kętrzyńskiego. Co ciekawe budował ją polski budowniczy, który jednocześnie był radnym miejskim — Pan Mzyk.

P.S.

W czerwcu 2017 r. wspólnota mieszkaniowa otrzymała dofinansowanie w wysokości ponad 400 tys. zł (85% całości projektu) w ramach unijnego projektu „Rewitalizacja obszarów miejskich”. Z pozyskanych środków wykona izolację przeciwwilgociową, remont strychu i najważniejsze — remont elewacji.

KAMIENICA ODZYSKA DAWNY BLASK!!!!

JERZY LENGAUER

Zakład biograficzny Olsztyn Kazimierza Brakonieckiego

Kazimierz Brakoniecki nie ma najmniejszego zamiaru trzymać się ram jakiegokolwiek gatunku. Bez względu na to, czy clou traktowane jest poetycko, czy prozatorsko. Czy fikcyjnie, czy realnie. Czy za pisarzem stoją jego własne doświadczenia, czy opowiada historie usłyszane w Olsztynie, Allensteinie, Atlantydzie Północy, przetrwione niespokojnym sześćdziesięcioletnim duchem. To o tym mieście tworzy współczesne sylwy, z których „Historie bliskoznaczne” najbardziej oddają napięty emocjonalnie stosunek pisarza do Olsztyna. Najpierw autor pisze: „Miasto zupełnie mnie nie interesowało”¹, ale dalej mamy erupcję środków literackich na temat miasta, która przyprawi o zawrót głowy nie tylko czytelnika, lecz także leksykologa, kulturoznawcę językowego i krytyka poetyckiego. Bo to mistyczny związek, który zaczyna się na brudnych podwórkach Zatorza, nastoletnich wyprawach na podmiejskie łąki i brzegi jezior, a kumuluje w lirycznych rozmowach z bogami, Jezusem, duchami Mazurów, Warmiaków, Żydów, Ukraińców, tych, którzy wyjechali do Niemieckiej Republiki Federalnej na fali przypomnienia sobie o własnej narodowości.

Miasto zupełnie go nie interesowało, bo przecież po przeprowadzce z Barczewa, gdzie się urodził, szedł dopiero do przedszkola z siostrą Barbarą i bratem Andrzejem. Wówczas czuł się niepewnie, wyciągnięty z bezpiecznego barczewskiego matecznika, gdzie być może już wtedy powstawać zaczęły podświadomie historie rodzinne i wydobyte na wierzch dorosłe traumy. Z tego rodzą się późniejsze pisarskie wyznania rozpoczynające kolejne podrzdziały.

Dla młodego Kazimierza Brakonieckiego, czy też tego, który po studiach na Uniwersytecie Warszawskim wraca do domu i nazywa ów dom górnołotnym toponimem, górnołotnym, szlachetnym, powiązany mitycznie i przez to prawie antycznie, znamionującym wartość kulturalną, estetyczną, zapomnianą, ale dającą nadzieję na wyniesienie z fal nieco uspokojonych mórz, mgieł i mroków „średniowiecznego” socjalizmu: „Postępek ten jednak pozwolił mi na wymyślenie i zrealizowanie we współpracy z poważnymi muzeami kilku

wspaniałych wystaw sztuki XX stulecia (sztuka żydowska w Polsce międzywojennej, sztuka polskiego Wilna 1918-1945, «Atlantida Północy. Dawne Prusy Wschodnie w fotografii»)". Wcześniej pisze tak: „Olsztyn był małym i prostym miastem”, „ówczesny Olsztyn zamykał się dla mnie wyniosłym ratuszem przy placu Wolności, kinami «Odrodzenie» i «Polonia», katedrą św. Jakuba, biblioteką na starówce, kinem «Awangarda» (...)”. Zaś „po powrocie do Olsztyna pod koniec lat 70. XX stulecia zaintrygowały mnie świadomie, intelektualnie, emocjonalnie, wręcz historiozoficznie ślady dziedzictwa, które ujawniły się na Warmii i Mazurach (...)”. Stąd niewątpliwie praca, rodzina, działalność kulturalna i w końcu Borussia.

Przymiotnik ‘biograficzny’ w tytule podświadomie wychodził mi na ‘autobiograficzny’, ponieważ skupiałem uwagę na wątkach z życia autora. Sugestywnych i niezwykle malowniczych, jeśli można przyjąć, że ówczesny Olsztyn mógł być kolorowy w oczach dziecka i nastolatka. Pisarz przechodzi niezwykle delikatnie, potoczyscie, fluktuacyjnie, nawet eterycznie z własnej autobiografii do szkiców o osobach najbliższych, najważniejszych — dobrych, złych, tragicznych, dramatycznych. Naznaczonych traumą czasów i oddających tę traumę dzieciom, żonie, przyjaciółom, sąsiadom, bezwzględnością wyborów, pauperyzacją moralną i społeczną, plebejskością, upadkiem: „Dużo naszych ojców pijało się w latach 50. i 60., ale byli i tacy, co całkowicie uzależnili się od alkoholu. Ojciec Zdziška należał do tych bardziej niebezpiecznych. Byli i tacy, co rzadziej pili, ale w stanie upojenia groźni i agresywni stawali się dla rodziny, takim był mój ojciec”. I właśnie przy olsztyńskich personach zaczyna czytelnik mieć wątpliwości. Ten niesamowity rozdział zatytułowany „Historie bliskoznaczne” — utwór niejednorodny, heterogeniczny, iście kalejdoskopowy zestaw wymyślonej epistolografii i biografii, dramatu i poezji — aż skrzy się od postaci, które mogą być i prawdziwe, i dalekie od prawdziwości. Historie umiejscowione są w rodzinnych wizjach, ocalonych z niepamięci genealogiach, opowieściach o rodzinnym domu, koledze

z podstawówki — Zdzišku Sadliku (tudzież całej plejadzie innych kolegów), babci Tosi, Wacławie Sokólskim. Znajdziemy je też w podsumowującym tę część książki „Światowaniu” — wierszu czteroczęściowym, w którym każda część składa się z siedmiu strof. Pierwsze trzy to świat Brakonieckiego, pisany najpierw toponimami warmińskimi i mazurskimi, ozdobionymi miejscami kultu (Gietrzwałd) i cerkwiami (Asuny), potem antroponimami, na koniec fitonimami. Następny rozdział poświęcony został matce. Narratorem pierwszoosobowym nie jest tutaj sam Brakoniecki: „Żebyś widział ją teraz w kąpiel. Dałbyś jej sześćdziesiąt kilka lat. Skóra jędrna i różowa. Sama wychodzi z wanny. A ja już tak łatwo nie mogę. A mam zaledwie 64 lata, a ona całe 90”. Przyjmując, że „Zuzia” jest pożegnaniem z matką, to na stronie 149 autor żegna się z olsztyńską ulicą Jagiellończyka, gdzie: „mieliśmy jako jedni z pierwszych: telewizor, telefon, centralne ogrzewanie”.

„Historie bliskoznaczne” czytamy, zastanawiając się, gdzie Brakoniecki odpowie na pytanie, czy opisane postaci to krewni Tosi, Zuzi, ojca. Dramat hospitalizacyjny, teatralna sztuka, ten nieznośny, burzliwy dialog „Miserere rei” z drobnymi didaskaliami przypomina — szczególnie, gdy przechodzi w dłuższy monolog — „Obtęd” Krzysztonia, zmarłego śmiercią samobójczą w 1982 roku. A czyż wymuszenie współpracy z bezpieką nie może doprowadzić do desperackiego czynu kogoś, kto uciekał przed wojskiem, reżimem? Na przykład Andrzeja, który „trochę pisze. Kiedyś wiersze, teraz opowiadania”. Czy da się wrócić na własną prośbę do szpitala, gdy mówią: „no a teraz drobna formalność. Proszę podpisać ten papier, że nie powie pan nikomu o naszym spotkaniu i o naszej rozmowie. Proszę tylko o podpis na dole i nic więcej. Tak więc gdyby co, to wie pan co i jak...”. Ten dramat może być cierpkim wyznaniem, wybuchem rozżalenia, obarczeniem winą tamtego świata przez samego pisarza. Ale, jak w „Historiach bliskoznacznych”, przeplata się przecież synonimiczność. Krewni, przyjaciele, sąsiedzi, znajomi, koledzy przybierają inne imiona, wymieniają płci, wykonywanymi zawodami, zmieniają się fakty z ich życia. Czy

tworzy się w ten sposób na wpół wymyślona hagiografia olsztyńskich świętych i przeklętych? Swoista biblia miejsca zaczynająca się stworzeniem tamtejszego świata przez ówczesnego boga (i cara)? „Pierdolony Stalin żył jeszcze na Kremlu i trzął całym światem (...)”. Brakoniecki w swojej pisarskiej metafizyce przerasta kanony. Żongluje realizmem i fikcją, dopasowując je do własnych wspomnień. Tworzy literackie prawo. To światowanie. Z jednej strony mamy utwór poetycki (zbiór wierszy?) i dziennik podróży ujęte metafizycznie. Z drugiej oglądanie świata i jego badanie. Pisarz zamienia się w naukowca, filozofa ateistę, który w laboratoryjnym kitlu przeprowadza obserwację przy pomocy antropologii kulturowej, religioznawstwa, kulturoznawstwa, filozofii religii, by dokonywać mistycznych przewartościowań i świata, i siebie, przechodząc delikatnie od ateizmu do agnostycyzmu. „Błądę, szukam, pragnę. Zamiast wierzyć w Boga katolików, protestantów, muzułmanów, hindusów, buddystów muszę wprawdzie zmierzyć się z własną psychiką, która sprawia mi największy kłopot”. „Piszę wiersze, bo nienawidzę, bo nie chcę nienawidzić, bo cierpię, bo boję się śmierci, bo kocham, bo jestem” — tak pisze w ostatnim rozdziale „ateista mistyczny”. Jest to popis erudycji, stylowy wykład od Platona do Simone Weil, Romano Guardiniego i Ciorana. Ta teoretyka i duchowe wyznania („Ateiście mistycznemu nie potrzeba ani Boga osobowego, ani w ogóle religii objawionej, ani tym bardziej instytucji kościelnej, żadnego Boga teistycznego, aby zgodnie z własnym sumieniem oraz własną pozytywną wolnością posługiwać się rozumem krytycznym, twórczym, niezależną i humanitarną etyką oraz potrzebą sprawiedliwości społecznej i indywidualnej”) przerywane są wynurzeniami to udręczonego, to wybawionego i uspokojonego satori humanisty. Sam naprzeciw światu. Badacz i mistyk. Od swobodnych, podwórkowo-szkolnych opowieści, przypominających czasami gorzkie książki Niziurskiego, przez równie bolesne i szare quasi-hrabalowskie olsztyńskie pejzaże, przez krytykę, wręcz wzburzenie na podobieństwo Thomasa Berharda, przez próby zrozumienia wydarzeń historycznych i politycznych, aż po ateizm mistyczny na końcu.

¹Kazimierz Brakoniecki, *Zakład biograficzny Olsztyn*, Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa Borussia, 2016. Wszystkie cytaty przytoczone w artykule pochodzą z niniejszej pozycji.

JUSTYNA ARTYM

Literatura kobieca?

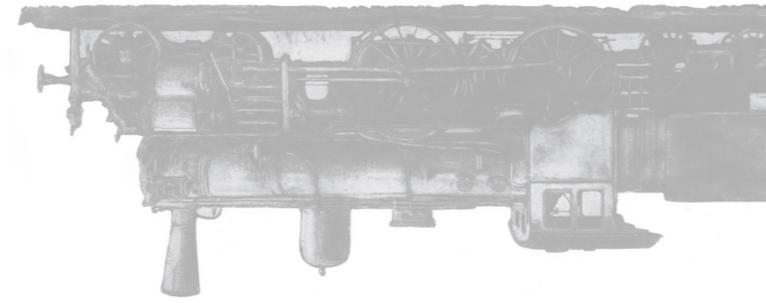
Marzec w Olsztynie obfitował w spotkania poświęcone literaturze kobiet. Miałam okazję uczestniczyć w trzech z nich.

Pierwsze odbyło się 3 marca na Wydziale Sztuki UWM pod hasłem „Masz prawomówić!” w ramach Manify. Zorganizowały je Półkownicy, grupa twórczych i piszących kobiet spotykających się cyklicznie na wspólnym czytaniu tekstów i dyskusjach. W pierwszej części wysłuchaliśmy tekstów autorek: Alicji Bykowskiej-Salczyńskiej, Katarzyny Matwiejczuk, Edyty Skupińskiej, Hanny Brakonieckiej, Urszuli Kosińskiej i Tamary Boćdak-Janowskiej. Wspaniałe, silne, świadome siebie kobiety, które z całą pewnością nie boją się mówić głośno o sprawach ważnych, przeprowadziły nas od dumnej Bogini w prapoczątkach świata, poprzez opowiedziany z ironicznym dystansem los kobiecy, aż do mocnego komentarza na temat współczesnych wydarzeń.

W drugiej części spotkania odbyła się dyskusja dotycząca sytuacji kobiet w kulturze z udziałem przedstawicielek różnych sztuk — Anny Drońskiej (sztuki plastyczne), Mute Sobaszek (teatr) oraz Ani Brody (muzyka). Zaproszone goście były przykładem twórczyń, które odnalazły swoją niszę, ich sztuka jest doceniana, mogą się z niej utrzymać, jednak nie zabrakło również głosów o trudnościach, jakie napotyka kobiety działające w kulturze.

Kolejne wydarzenie zainaugurowało cykl spotkań z olsztyńskimi autorkami „Literatura jest kobietą”, który przez cały rok będzie realizowany przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Olsztynie. W dyskusji 8 marca w Planecie 11 uczestniczyły poetki i pisarki: Tamara Boćdak-Janowska, Hanna Brakoniecka, Monika Glibowska, Joanna Jax, Wioletta Sawicka, Joanna Wilengowska, Helena Piotrowska, Iwona Bolińska-Walendzik, Urszula Kosińska i Ewa Bućgajewska-Grygiel.

Dyskusja obejmowała między innymi zagadnienie samej literatury kobiecej. Zastanowiła mnie jedna z wypowiedzi, mówiąca o tym, że jeśli ktoś zamyka kobiecą literaturę w getcie, to są to same autorki, które się separują, alienują, podkreślają swoje istnienie poza oficjalnym nurtem literatury, i że wyłącznie od nich samych zależy, jak będą postrzegane piszące kobiety — to słynne i wieczne „same jesteście sobie winne”. Nie możemy udawać, że tego zjawiska nie ma. Nie możemy zamykać oczu na to, że przez tyle wieków obowiązywał głównie męski



dyskurs, że widzieliśmy wielkie dylematy tylko i wyłącznie oczami mężczyźni. Nie możemy pomijać faktu, że nadal, mimo tego, że literatura kobiet jest coraz bardziej doceniana, kobiety bywają pomijane w antologiach, werdyktach konkursów czy mainstreamowej promocji. Pamięamy głośną akcję podczas Międzynarodowego Festiwalu Poezji Silesius — trzech poetów przyszło na panel dyskusyjny w sukienkach, aby zaprotestować przeciwko nieobecności kobiet w rozmowie. To nie działo się w mitycznej, odległej przeszłości, ale w zeszłym roku. Dlatego tym bardziej należy walczyć o to, aby dopuścić do głosu doświadczenie drugiej połowy ludzkości, przestać je deprecjonować.

9 marca Olsztyńskie Obserwatorium Kultury zaprosiło do Galerii Rynek na promocję antologii „Warkoczami”, o której opowiadały jej redaktorki: Sylwia Głuszak, Beata Gula i Joanna Mueller. Zbiór jest owocem feminarium „Wspólny Pokój” odbywającego się od wielu lat przy Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie w formie spotkań i dyskusji wokół pisarstwa kobiet, zarówno tekstów literackich, jak i teoretycznoliterackich. „Warkoczami” to przekrój twórczości poetek i poetów w jakiś sposób z tą inicjatywą związanych.

Spotkanie, niestety, zgromadziło najmniej osób, może to przez przesyt wydarzeniami o podobnej tematyce. Antologia jest pogrupowana tematycznie — wbrew stereotypom wcale nie tak łatwo było znaleźć wiersze do działu „Pochwała matek” czy „Prenatal”, natomiast mnóstwo było tekstów o tematyce społecznej czy tożsamościowej. Zatem „Warkoczami” daje ciekawy obraz literatury „kobiecej” i jej autorek: świadomych siebie, niepokornych, obalających schematy.

No właśnie, w takim razie „literatura kobieca” czy „literatura kobiet”? To pierwsze określenie raczej źle się kojarzy: z enklawą, marginesem, miejscem poza głównym nurtem. Funkcjonowało w czasach, kiedy wyróżniano literaturę oraz literaturę kobiecą i literaturę dziecięcą, niczym dwie dziwne aberracje. Z drugiej strony jest oczywiste, że literatura pisana przez kobiety różni się od tej pisanej przez mężczyzn. Po wielu wiekach milczenia odzyskujemy swój własny głos, szukamy swojego języka, opisujemy nasze doświadczenie, o którym wcześniej się nie mówiło. To po prostu literatura kobiet. Niech się pisze i niech będzie słyszana!

MONIKA KOWALEWSKA

YOLO

Komunikacja to rzecz trudna. A wydawałoby się, że skoro komunikujemy się na co dzień — mówimy, piszemy — i wszyscy wszystko rozumieją, to rzecz jest banalnie prosta. A jednak, gdy przyjrzymy się tej kwestii z bliska, od naszego zarania, to sprawa nie wygląda już tak gładko. Rodzimy się i płacemy, potem kwilimy i cmokamy — komunikat niby jest, ale czy na pewno czytelny? No bo skąd wiadomo, czy krzywimy się, bo nie smakuje nam papka z banana czy może raczej nie chcemy jeść w ogóle, a może banan byłby lepszy w kawałku? Wciąż ten sam grymas i złowrogie mlaskanie. Później nadchodzi gaworzenie i niby ma być lepiej, ale jakoś tak niezupelnie. Bo co biedny rodzic ma zrozumieć, gdy dziecko biega i krzyczy gagalupamul czy coś innego, równie niezrozumiałego? Jest nadawca, jest odbiorca, jest komunikat, a jednak coś nie działa. Opcje są dwie: wejść w stan offline albo przeczekać. Gdy rodzic czeka, jest szansa na to, że za parę lat coś zrozumie, bo przecież z sylab powstają słowa, a ze słów zdania. Pewnego pięknego dnia przychodzi etap: NIE. Nie jest wielkie, głośne i zdecydowanie zrozumiałe, a przez częste powtarzanie rodzic szybko zapamiętuje komunikat. Z wiekiem pojawia się jednak przedszkole i szkoła, a wraz z nią lekcje polskiego. Piękna mowa ojczysta wychodzi gładkimi, acz krótkimi, zdaniami z podręcznika. Ala ma kota. Kot pije mleko. Mleko jest białe i pochodzi z kartonu. Zdania proste, zrozumiałe, rodzice są zadowoleni, dziecko trochę mniej, ale komunikacja idzie w dobrą stronę. Polak mały poznaje język swój ojczysty i wszystko byłoby pięknie, gdyby nie to, że im głębiej w las, tym więcej drzew. Pani na lekcji matematyki niby coś wypowiada, ale trudno ją zrozumieć, o fizyce i chemii nawet nie wspominając, a na lekcji polskiego, który przecież miał być naturalnie prosty, prawdziwi geniusze słowa: Kochanowski, Mickiewicz i Stowacki piszą: Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,

Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała. I jakby tego było mało, nauczycielka opowiada, że teraz każde zdanie musi mieć orzeczenie i podmiot, a do tego jakieś przydawki, okoliczniki i dopełnienia. Gdy do tego dorzucimy „ę”, „ą”, „ż” i „rz” i „ź” oraz wszystkie te zupełnie nikomu niepotrzebne znaki, każdy może się nieco pogubić. I teraz to nastolatek staje przed dylematem: przejść w stan offline albo przeczekać. A że nastolatek czeka tylko 3 sekundy, po których nerwowo szuka możliwości ewakuacji, to jest duża szansa, że na zawsze pożegna się z poprawną polszczyzną. Niektórym zostają jednak pewne kompetencje językowe, które wystarczają do sformułowania komunikatu liczącego 160 znaków. Kierując się odwieczną zasadą, która mówi, że czego człowiek nie dopisze, to pokaże, pomagamy sobie zestawem gotowych buziek obrazujących wiele stanów emocjonalnych, a także sweetaśnych zwierzątek, rączek i wielu innych symboli. I teraz wiadomo, że kiedy Gosia pisze na fejsie „omg” ze smutną buźką, to jest jej smutno, a kiedy „omg” z buźką zszokowaną, jest w szoku. Wszystko jasne. Oprócz emotikon i emoji pomocne są także naklejki i gify — wtedy nie trzeba pisać już zupełnie nic. No może „omg” albo „lol”. Konwersacja sprowadza się zatem do krótkiej wymiany znaków:

— idziesz z BFF na shopping?

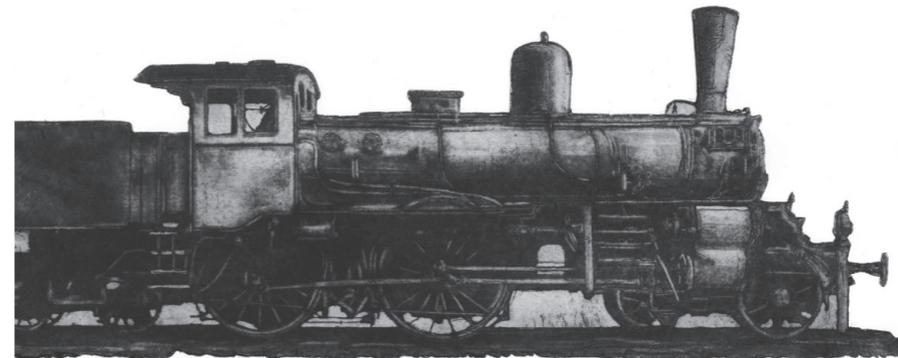
— idk

— kk idz assap bo jest sale btw aska idzie z burym

— rofl swag na insta

— no wiesz yolo tyy!

Komunikat krótki i na temat, bez zbędnych ozdóbek, a jednak wszystko jest zrozumiałe. Dla kogoś na pewno. Do tego kilka kotków w różnych konfiguracjach i po co ten Mickiewicz tak się męczył?



ROBERT LESIŃSKI

„Opakowanie i jego zawartość”

— czyli uwag kilka o sposobie szukania odbiorcy

„Halo, to ja...”¹ — nawołujemy czasem, bo chcemy być docenieni, zauważeni, nieanonimowi, jacyś... (niepotrzebne skreślić). A co z odpowiedzią? Dziś, w czasach nadmiaru (czy wręcz przepychu), chyba trudniej niż kiedykolwiek wcześniej o kontakt z odbiorcą naszych działań. Wiedzą o tym niemało artyści, wiedzą dziennikarze. Wiedzą i szukają. Są różne sposoby: opisywane, analizowane — sprawdzone, ale nie zawsze skuteczne (tak jak z książkami uczącymi biznesu — gdyby to, co tam piszą, było skuteczne zawsze i wszędzie, żylibyśmy na planecie milionerów). Znaleźć klucz do odbiorcy naszych działań, to jak znaleźć świętego Graala. Szukać zatem warto.

Gdyby dziennikarz zawsze zastanawiał się, kto jest odbiorcą jego pracy, nieuchronnie doszedłby do stanu paraliżu twórczego. Bo przecież słowo napisane, czy wypowiedziane, przemierza bezkres przestrzeni, napotykając na swojej drodze odbiorców tak nierozpoznanych, jak ta przestrzeń. Ilu ich będzie? Jacy są? Jak zareagują? — to można sobie próbować wyobrazić, ale nigdy nie będzie jednej odpowiedzi. No chyba że będzie to jeden odbiorca. Wtedy można go określić i przekazać sformułować tak, by był zadowolony. To oczywiście tylko teoretyczna sytuacja. Zawsze jednak odbiorców jest więcej i trzeba mieć świadomość, że każdy z nich jest inny.

Jest teoria mówiąca, że jeśli coś jest do wszystkiego, to jest do niczego. Jak zatem mówić (czy pisać) do wszystkich, by zaprzeczyć tej teorii? Doświadczenie uczy, że nigdy nie będzie takiej sytuacji, z której wszyscy byliby zadowoleni. I z tym smutnym faktem trzeba się oswoić. Nawet najbardziej lubiani dziennikarze i prezenterzy mają swoich krytyków. Ba — wydaje się, że są to nawet krytycy bardziej zaciekli. Ich (dziennikarzy) praca zawsze będzie odbierana subiektywnie. A ten odbiór może być rozpatrywany na dwóch płaszczyznach: co i jak (mówią czy piszą). Założyć należy, że do tego, co nam przekazują, nie można mieć uwag (to założenie teoretyczne), ale jak... Tu mamy wieczny problem pogodzenia formy i treści. Opakowania i zawartości. I często to opakowanie ma wartość pierwszorzędą. Wydaje się, że

w przypadku przekazu dziennikarskiego też tak jest. Spójrzmy na wygląd stron najpopularniejszych gazet. Duże tytuły zakończone wykrzyknikami lub znakami zapytania. A pod spodem tekst wnoszący niewiele więcej. I to wielu czytelnikom wystarcza. Na więcej nie mają czasu bądź ochoty. Ale można i inaczej. Dobry tytuł i dobra treść — to dla wymagających. Tutaj na myśl przychodzi mi artykuł opisujący debiut Roberta Kubicy w F1. „Gazeta Wyborcza” swój tekst opatrzyła nagłówkiem: *Drugi Polak w kosmosie!* Rewelacja. Aż chce się zagłębiać, bo wiadomo, że autor to inteligentny człowiek z poczuciem humoru. Podobnie rzecz się ma z innymi przekazami dziennikarskimi (telewizyjne, radiowe). Jeśli wstęp, pierwsze słowa chwycą, jest duże prawdopodobieństwo, że odbiorca zechce poczytać na „rozpakowanie” treści. Istotne jest jednak to, by ta treść była atrakcyjna. By była „jakość”, nie „jakoś”. Wtedy jest szansa na kontakt z odbiorcą dzieła. To dla niego wszak tworzymy, starajmy się więc próbować doń dotrzeć.

Dziennikarz zgłębiający temat nie może zapominać, że odbiorca nie musi być nim tak zafascynowany jak on. Pamiętam, że podczas rozmowy o tenisie, geniuszu Rogera Federera i pięknie jednoręcznych bekhendowych passing shotów padły słowa o tradycji jedzenia truskawek podczas turnieju w Wimbledonie. I to okazało się lepszą reklamą turnieju niż mądre wypowiedzi o technice tenisowych uderzeń. Trzeba więc myśleć o tym, by nasz komunikat był zrozumiały nie tylko dla autora. A jeśli jeszcze zostanie stosownie opakowany, to zawartość nabierze wartości. Odbiorca to doceni!

ROBERT LESIŃSKI — dziennikarz. Karierę dziennikarską rozpoczął w połowie lat 80. w czasopiśmie regionalnym i ogólnopolskim. Od 1992 r. pracuje w Radiu Olsztyn — początkowo w redakcji muzycznej, obecnie prowadzi własne audycje poświęcone kulturze i turystyce, w których prezentuje twórców i animatorów kultury, interesujące miejsca i ludzi oraz lokalne wydarzenia.

PAULINA WAKAR

Pasym w Berlinie

Hasło: komunikacja, skojarzenie: ulice. Asocjacja to może niewyszukana i zbyt dosłowna, zważywszy na szerokie pole semantyczne pojęcia komunikacja, mimo to pozostaniemy przy niej. Skupmy się zatem na ulicach, właściwie na jednej, a konkretnie na jej nazwie. Ulica, o której mowa, znajduje się daleko stąd — w innym państwie, w jego stolicy. Chodzi o Berlin i Passenheimer Straße, czyli ulicę Pasymską. Nie, nie jest to zbieżność nazw, chodzi o „nasz” Pasym, w powiecie szczycieńskim.

Jak doszło do tego, że ulica w jednym z największych miast Europy nosi nazwę mazurskiego miasteczka? I to nie byle jaka ulica. Passenheimer Straße w Berlinie jest jedną z najważniejszych dróg dojazdowych do Stadionu Olimpijskiego, łączą Heerstraße — jedną z najdłuższych ulic w mieście — z dzwonnica należącą do powierzchni stadionu.

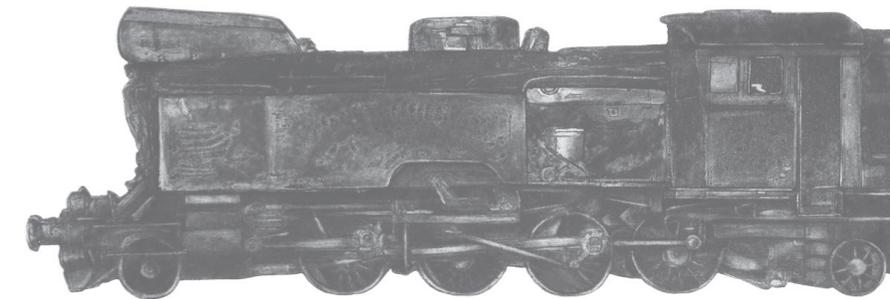
Choć trudno w to dziś uwierzyć, na początku XX wieku Pasym należał do wiodących miast Prus Wschodnich, jeśli chodzi o rozwój sportowy. Ale po kolei. Pod koniec lat 20. ubiegłego stulecia międzynarodowy komitet olimpijski postanowił, że letnie igrzyska w 1936 roku odbędą się w Berlinie. Skutkiem tej decyzji był projekt nowego kompleksu olimpijskiego w mieście.

Zespół budynków nowego Stadionu Olimpijskiego przyczynił się do powstania arterii, których nazwy miały zostać wyłonione w ogólnokrajowym konkursie. Ówczesny burmistrz Pasymia Paul Bartsch postanowił wziąć udział w rywalizacji — by zwyciężyć, musiał przekonać władze Berlina o wyjątkowej aktywności sportowej w mieście.

Znany finał współzawodnictwa — wszak nie powstawałby ten tekst, gdyby Pasym nie wygrał. W ostrej konkurencji z innymi niemieckimi miastami okazał się najlepszy. Od 1935 roku Pasym, zapośredniczony w nazwie Passenheimer Straße, daleko od swych granic, w innym dziś kraju i w obcym języku jest kochany i nienawidzony na kopertach miłosnych listów, zwodzi wszystkich, którzy zabłądzili, skręcając nie tam, gdzie trzeba, budzi strach przed wizytą u dentysty, który przyjmuje właśnie tam.

„Być skrupulatnym jak pruski urzędnik” traci tu umowność przenośni i staje się dosłownością. Niespełna sto lat temu burmistrz Bartsch skrupulatnie dokumentował osiągnięcia miasta w dziedzinie sportu, dzięki czemu ulica w Berlinie do dziś nosi nazwę mazurskiej miejscowości.

Pasym leży nad jeziorem Kalwa, co burmistrz Bartsch w latach 20. XX wieku umiał wykorzystać do rozwoju sportów wodnych w mieście. Istniał wówczas



w miejscowości klub kajakowy ze stanowiącą wyjątek w owych czasach drużyną żeńską. Ambitny burmistrz miał nawet plan, by uczynić Pasym miastem regatowym, jednak nie udało się go zrealizować. Być może inne znane kluby kajakowe z Prus Wschodnich w Królewcu, Elblągu, Ostródzie i innych miastach traktowały nowego konkurenta z głębokich Mazur zbyt podejrzliwie? A może zadecydowała o tym niedostatecznie rozwinięta infrastruktura — daleki transport ciężkich łodzi stanowiłby niemały problem, podobnie jak brak dostatecznej liczby miejsc kwaterekowych dla sportowców.

Gdy kończył się sezon żeglarski, czekało się na zimę, która przynosiła głębokie zasy śniegu, a jezioro Kalwa skuwana grubym lodem. Wówczas uczniowie miejscowej szkoły pod wodzą nauczyciela sportu Kurta Oldena odbywali zajęcia na nartach biegowych. Ich marsz przez zamrożone jezioro stanowił wyjątkowy widok. Drużyna szkolna, której większość członków posiadała kompletny sprzęt narciarski i umiała z niego korzystać — to była rzecz wówczas niespotykana. Idealne warunki do uprawiania sportów zimowych ściągały do Pasymia ich amatorów ze Szczytna, Olsztyna i innych miast. Tym, co przyciągało sportowców zimą do Pasymia, była też z pewnością... skocznia narciarska. Pozwalała na skoki maksymalnie na odległość 30-35 metrów, gdy na współczesnych skoczniach można poszybować nawet na odległość 200 metrów. Zważywszy, że skocznie dające takie możliwości buduje się dziś w wysokich górach, pasymska skocznia była niezwykle ciekawym obiektem sportowym.

W latach 20. XX wieku rozmach przedsięwzięć sportowych zadziwiał i do dziś robi wrażenie. Wizja lokalnego nauczyciela sportu Kurta Oldena zakładała znacznie więcej: budowę hali sportowej dostosowanej do dziedzin ciężkiej atletyki, takich jak boks i zapasy, wyposażonej w sprzęt do uprawiania gimnastyki, a także budowę krytej pływalni. Śmierć burmistrza Paula Bartscha 20 stycznia 1935 roku zatrzymała te śmiałe plany. Pasymski duch sportu został jednak doceniony — chcąc dotrzeć na Stadion Olimpijski w Berlinie, trudno nie trafić na Passenheimer Straße.

*Autorka korzystała z artykułu *Die Sportstadt Passenheim* Joachima Oldena, z „Ortelsburger Heimatbote 2012”, s. 88-103.

PAULINA WAKAR — pracownik Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie. Doktor literaturoznawstwa, absolwentka dziennikarstwa na UWM w Olsztynie.

¹ Cytat z tytułu piosenki zespołu Sex Bomba.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich na Warmii i Mazurach

Jedną z organizacji pozarządowych regionu Warmii i Mazur, która ze szczególnym zaangażowaniem działa na polu kultury, jest Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Ta ogólnopolska organizacja ma swój regionalny Oddział w Olsztynie już od 65 lat.

POCZĄTEK

Stowarzyszenie powstało 11 marca 1951 r. w Warszawie. Rok później – 16 marca 1952 r. – jest już obecne w Olsztynie. Pierwszym prezesem Oddziału został red. Zbigniew Wojakiewicz, naczelny ówczesnego „Głosu Olsztyńskiego”, po 1953 r. związany z mediami Wybrzeża, a następnie Śląska.

Do roku 1982 r. SDP było jedyną i powszechną organizacją środowiska dziennikarskiego w Polsce. W tym okresie odegrało ważną rolę w życiu kraju; w Październiku 1956 uczestniczyło w próbie demokratyzacji ustroju PRL; w latach 1980-1981 bardzo aktywnie współdziałało z ruchem „Solidarności”. Gdy nadszedł pamiętny Grudzień ze stanem wojennym, Stowarzyszenie nie zaprzestało swojej działalności w obronie prawdy i dziennikarskiej niezależności, chociaż wielu dziennikarzy aresztowano, internowano, odebrano im prawo wykonywania zawodu. Mało tego, oficjalnie zostało zlikwidowane. 20 marca 1982 r. wojskowy prezydent Warszawy rozwiązał Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, tworząc w jego miejsce Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich nie zaprzestało swojej działalności. Jak podkreślają jego członkowie, którzy nie przystąpili do SD PRL, był to okres Podziemnego SDP. Prezesem w Warszawie był wówczas Stefan Bratkowski, wiceprezesami Maciej Hłowiecki i Jerzy Surdykowski, sekretarzem generalnym Dariusz Fikus, sekretarzami Krzysztof Klinger i Jacek Ratajczak. Dziennikarze wydawali podziemną prasę, współpracowali z demokratyczną opozycją.

PO 1989 ROKU

Wyjście z podziemia i reaktywowanie SDP nastąpiło w czerwcu 1989 r. Prezesem w Olsztynie został red. Bohdan Kurowski. Od czerwca do grudnia 1989 r. członkostwo w olsztyńskim Oddziale potwierdziło 46 dziennikarzy.

W 2002 r., z okazji 50-lecia Oddziału, ówczesna prezes Joanna Wańkowska-Sobiesiak pisała: „Nie zachowała się żadna dokumentacja, na podstawie której można by było przedstawić działalność olsztyńskiego SDP w tamtych latach. Wydarzenia z tego burzliwego okresu, kiedy zmienia się ustrój Polski, czemu towarzyszyły niekończące się dyskusje polityczne, znamy dzięki relacji Zenona Złakowskiego, opublikowanej w książce *W Olsztyńskim bez przełomu*.” Publikacja tego kronikarza olsztyńskiej Solidarności, a jak się

okazuje również SDP-u, jest bezcennym źródłem zapisu na bieżąco historii olsztyńskiego środowiska dziennikarskiego czasu przełomu.

Jednak – jak się okazuje – nic w przyrodzie nie ginie. W ostatnich latach udało się dotrzeć do niektórych dokumentów, m.in. z archiwów prywatnych Bohdana Kurowskiego i Zenona Złakowskiego. Na pewno warto również sięgnąć do archiwów IPN-u. Wprawdzie oryginałów dokumentów raczej tam nie znajdziemy, jeżeli wierzyć słowom ostatniego prezesa przed wprowadzeniem stanu wojennego – Krzysztofa Panasika – „archiwum Oddziału zostało w 1982 r. zniszczone”. Czy było to działanie spowodowane strachem przed ówczesną władzą... Chyba tak, gdyż trudno podać inną sensowną przyczynę.

Okres reaktywacji SDP w Olsztynie był czasem trudnym. Złożyły się na to również spory związane z przejmowaniem (zakupem) „Gazety Olsztyńskiej”. J. Wańkowska-Sobiesiak tak to wspomina: „Spory ideologiczne nie ominęły również olsztyńskiego stowarzyszenia, a wręcz nasiliły się w czasie publicznej dyskusji na temat dalszej formuły «Gazety Olsztyńskiej», będącej bądź co bądź organem prasowym PZPR. Spory te nie wyszły na dobre stowarzyszeniu: jego szeregi opuścili niektórzy dziennikarze”. SDP pożegnali wówczas A. Socha, E. Kruk, Z. Złakowski, M. Okęcka-Bromkowa.

Po siedemnastu miesiącach kierowania Oddziałem przez red. Kurowskiego, 6 listopada 1990 r. wybrano nowego prezesa. Został nim Tadeusz Prusiński; do Zarządu weszli także: ks. Benedykt Przeracki jako wiceprezes i Krystyna Wojtylak-Radwaniecka – sekretarz. Po dwu kadencjach kolejnym przewodniczącym został dziennikarz olsztyńskiego radia – red. Sławomir Stelmaczonek. Na czas tej kadencji przypadło kolejne bolesne wydarzenie – sprzedaż „Gazety Olsztyńskiej” niemieckiemu właścicielowi. SDP zabrało wówczas głos w tej sprawie.

W roku 2002 r. prezesem zostaje Joanna Wańkowska-Sobiesiak. Będzie to czas rozwoju Stowarzyszenia w Olsztynie. Następuje podjęcie ważnych inicjatyw, m.in. powstaje miesięcznik „Bez Wierszówki”. Następuje także wzmocnienie pamięci o Sewerynie Pieniężnym i jego gazecie; 24 lutego 2004 r. delegacja Oddziału składa kwiaty obok Głazu S. Pieniężnego na Podzamczu, w kolejnych latach również na cmentarzu i przy pomniku obok OZGraf-u. Będzie to stanowiło punkt wyjścia do utworzenia dziesięć lat później Szlaku Pamięci Seweryna Pieniężnego, który wyznaczają miejsca związane z życiem i działalnością tego polskiego patrioty, dziennikarza i wydawcy.

W połowie 2004 r. Oddział przeszedł na samodzielny system rozliczania

z Urzędem Skarbowym, zmienił miejsce swoich spotkań i dzięki życzliwości Aliny i Alfreda Prusików korzystał z lokalu w Klubie Środowisk Twórczych przy ul. Nowowiejskiego. W 2006 r., później w 2009 r., Zarząd Oddziału wystąpił z inicjatywą nadania jednej z ulic w mieście imienia dziennikarki Maryny Okęckiej-Bromkowej. W roku 2009 r. zrodziła się także idea Konkursu im. S. Pieniężnego; 17 października tegoż roku wręczono pierwszą Nagrodę.

W grudniu 2011 r., po rezygnacji dotychczasowej prezesa, na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu nowym szefem SDP został red. Leszek Lik. Kierował Oddziałem przez niespełna rok. Kadencję 2010-2013 dokończył już kolejny prezes – Krzysztof Berent. Od października 2013 r. Warmińsko-Mazurskim Oddziałem kieruje Ireneusz St. Bruski.

DZISIAJ

Stowarzyszenie w Olsztynie liczy 56 członków, w tym jednego honorowego – red. Zenona Złakowskiego. Niedawno pożegnaliśmy Erwina Kruka, również członka honorowego SDP. Biorąc pod uwagę miejsce zamieszkania lub pracy, żurnalistów Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP spotkamy nie tylko na terenie naszego województwa, lecz także w Katowicach, Łodzi, Warszawie, a za granicą: w Belgii, Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. W tej chwili na przyjęcie do Stowarzyszenia oczekuje 18 kandydatów, kolejni sygnalizują chęć złożenia deklaracji członkowskiej.

Oprócz realizacji zadań statutowych sztandarowym przedsięwzięciem SDP w Olsztynie jest przede wszystkim organizacja Dni Seweryna Pieniężnego, które odbywają się corocznie w rocznicę urodzin i śmierci patrona Oddziału (24-25 lutego). Składają się na nie m.in. wspomniany Szlak Pamięci i Konkurs oraz Gala Dziennikarzy Warmii i Mazur z przyznawaniem od 2016 r. honorowym tytułem Przyjaciela SDP. W gronie dotychczas wyróżnionych osób znaleźli się m.in. Elżbieta Fabisiak, Danuta Gomolińska, prof. Krystyna Stasiewicz, Piotr Ciosok, Stefan Trusczyński. Co pięć lat przyznawane jest także szczególnie ważne wyróżnienie – Laur Dziennikarza Warmii i Mazur. Pierwszymi dziennikarzami, którzy go otrzymali, byli: Erwin Kruk i Zenon Złakowski.

Olsztyński SDP współdziała z wieloma organizacjami, stowarzyszeniami, placówkami kultury i edukacji w mieście oraz regionie, podejmując różnorodne przedsięwzięcia. Wśród wielu inicjatyw należy wspomnieć obchody 115. rocznicy urodzin Władysława Gębika (1900-1986). Najważniejszym wydarzeniem było wówczas odsłonięcie poświęconej mu Tablicy na domu przy ul. Wyzwolenia 9, w którym przez wiele lat mieszkał.

Piętnaście lat temu prezes J. Wańkowska-Sobiesiak pisała: „Ponownie Oddział stoi przed koniecznością znalezienia siedziby. Sytuacja może się poprawić, kiedy dojdzie do realizacji projektu prezydenta Olsztyna, który obiecał przeznaczyć jeden z budynków przy ul. Dąbrowszczaków na siedzibę Domu Środowisk Twórczych, w którym kiedyś miało swoją siedzibę SDP”. Jak widać, na projekcie się skończyło...

Lokal to ważna sprawa. Jednak o wiele ważniejsi są ludzie, dziennikarze, członkowie Stowarzyszenia, którzy zechcieliby wspólnie działać, realizować projekty, wcielać w życie pomysły jednoczące wspólnotę żurnalistów Warmii i Mazur. Dzięki Bogu takie osoby do SDP w Olsztynie należą.

IRENEUSZ ST. BRUSKI (ur. w 1961 r. w Sztumie), prawnik i teolog, publicysta i wydawca, społecznik; sędzia Sądu Metropolitarnego w Olsztynie, prezes Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego „Bez Wierszówki”. W 2016 r. otrzymał odznakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej.



PIOTR KARKOSZKA

Dlaczego piszę blogi



Fot. Petrelpiotr

Moja przygoda z aparatem fotograficznym zaczęła się nad Wisłą. Usiadłem nad wodą i pstrykałem. Obrazy jak obrazy. Póki w kadr łęgu i łódki przy brzegu nie wleciała mewa. Ujrzawszy to na ekranie komputera – zaskoczyłem.

Fotografowanie dało pretekst, by wychodzić w plener i chwycić najciekawsze chwile. Uzmystowiło, że piękno świata – bywa – czai się tuż za progiem domu.

Aparat ożywił skłonności literackie, którym folgowałem podczas studiów. Ich wyrazem są cztery blogi poświęcone przyrodzie i nie tylko. Każdy wypadek dokumentuję wpisem i zdjęciami, traktując ów wysiłek jako niezbędne continuum przeżyć. Cokolwiek jednak napiszę i tak nie odda to mojej fascynacji przyrodą. Zamiast więc opowiadać, dlaczego fotografuję i bloguję, postanowiłem opowiedzieć historię zdjęcia, którego długo nie pokazywałem.

Fascynująca bywa ulotna chwila zarejestrowana aparatem. W pewnych okolicznościach, poznając i rozumiejąc chwilę, odczuwamy istotę świata. Spoglądając na atom przez mikroskop elektronowy, zdajemy się dostrzegać Wszechświat. W otaczającej nas przestrzeni pełno fraktali o wymiarach determinowanych stopniem nieporównywalności szerokości, wysokości i głębokości: dwuwymiarowych liści o pomijalnym wymiarze grubości, koron drzew pełnych pustych przestrzeni między konarami i gałęziami, których wymiar fraktalny, zależny od stopnia wypełnienia listowiem czy igliwem, mieści się w przedziale między dwuwymiarowością a trójwymiarowością.

To fraktale nadają kształty i wzory obserwowanym elementom przyrody czy zjawiskom fizycznym. To fraktale cechuje harmonijna powtarzalność struktur (samopowtarzalność) na różnych poziomach uszczegółowienia obrazów i zjawisk. Nawet przebieg zdarzeń miewa strukturą fraktalną – wszak w potocznym mniemaniu historia lubi się powtarzać, jedno że za każdym razem na innym poziomie rozwoju ludzkości.

Największą jednak tajemnicę skrywają liczby pierwsze. Jej rąbek odstonił Bernhard Riemann w swojej hipotezie, na udowodnienie której zęby połamało już kilka pokoleń najwybitniejszych matematyków. Mimo tego odkryli oni, przy okazji iście benedyktyńskiej pracy, głęboki związek pomiędzy ujawnionym porządkiem wyższego rzędu, rządzącym tymi liczbami, a odkryciami fizyków kwantowych badających elementarną budowę samej materii i astrofizyków chcących pojąć sens naszego Wszechświata.

Dlaczego taki wstęp? Chwile, które ciekawia, mówią wiele (a być może wszystko) o ludzkiej kondycji i motywach działania (czyżby determinanta samopowtarzalności

fraktalnej zdarzeń i emocji?). Chwila uwięziona w zdjęciu wydaje się zrazu powierzchownie ładna. Gdy jednak trafi do przestrzeni publicznej, z upływem czasu nabiera innego znaczenia.

To historia o zdjęciu, które zrobiłem mimochodem. Nie chciałem go publikować. Ludzie nie są tematem moich fotografii. To najbliżsi zachęcili mnie, bym je zamieścił na nieistniejącym już portalu. Ku mojemu zdumieniu wywołało mnóstwo komentarzy. Obecność człowieka nadała obrazowi odmienną od zamierzonej dynamikę i treść. Okazało się, że piękno natury wymaga spersonalizowanego punktu odniesienia.

— Najbardziej lubimy piosenki, które znamy — mawiał w *Rejsie* klasyk Mamoń, Zdzisław Maklakiewicz.

Ktoś stwierdził, że piękno – w oku patrzącego. Ktoś inny zauważył:

— Osoba, kładka, samotna ławka dodają zdjęciu uroku... Pytamy, jak długo osoba lub przedmiot tam jest. Gdy nie ma nic, nie ma zastanowienia, nie ma pytania...

Mógłbym zamknąć tę historię, gdyby nie ale, zawsze jakies... Dostałem taki oto e-mail:

— Witam. Czy można prosić o przesłanie zdjęcia tego pana z wędką (...), bo to niezły dziadek mojej żony i chciałaby na pamiątkę.

Historia tej fotografii zatoczyła kolejne koło. Zdjęcie, aczkolwiek to samo, okazało się nie takie samo. Jak tu nie nawiązywać do fraktali, które są obecne w każdym przejawie toczącego się życia?

PIOTR KARKOSZKA – urodzony w Warszawie 11.04.1953 r. Absolwent Politechniki Warszawskiej. Wydział elektryczny. Doktor inżynier elektryk. Autor wielu publikacji naukowo-technicznych oraz komentarzy prawniczych opublikowanych w wydawnictwie publikacji elektronicznych Wolters Kluwer (LEX). Autor *Zielonej Rzeki* (o Krutyni) wydanej nakładem Wydawnictwa Pojezierze, reportaży z lat osiemdziesiątych XX wieku publikowanych przez nieistniejące już periodyki: „Kultura”, „Tygodnik Kulturalny”, „Prawo i Życie”. Pasjonat Warmii i Mazur. Fotograf amator, bloger.

Moja Warmia i moje Mazury: <https://petrelpiotr.blogspot.com/> O naturze chwili z przyrodą sam na sam; <http://petrelpiotr2.blogspot.com/> Wrażenia: <https://petrelpiotr3.blogspot.com/> Moja Wisła: <https://petrelpiotr1.blogspot.com/>

EMILIA WORONOWICZ

Dziewczyna, która czyta blogi

W dzisiejszym świecie coraz trudniej przyznać się, że nie rozumiemy nowoczesnych sposobów komunikacji. Facebook, Twitter, Instagram, YouTube, Snapchat to platformy, które szturmem wkroczyły w nasze życie i bez zrozumienia ich działania funkcjonowanie w sieci zaczyna przypominać błądzenie we mgle. Przy tak szybko zmieniających się narzędziach komunikacji stary dobry blog wydaje się przyjaznym i prostym w zrozumieniu medium. W końcu to pamiętnik. Dziennik. Internetowy pamiętnik lub dziennik...?

No właśnie, czym właściwie jest blog i jak ma się on do nowoczesnych narzędzi komunikacji? Przecież nadal wiele osób uważa go za rodzaj pamiętnika, czyli czegoś, co w założeniu do rozmowy nie służy.

Przede wszystkim należy zauważyć, że badacze zajmujący się tematem blogów już dawno odeszli od określania ich mianem pamiętników. Co prawda Słownik Języka Polskiego PWN definiuje blog jako „dziennik prowadzony przez internautę na stronach www”, jednak specjaliści wprost stawiają tezę, że blog... to blog. W dodatku porównują go do kartki papieru służącej jako nośnik dla innych gatunków internetowych. Sami blogerzy mówią, że blog to narzędzie do komunikowania się z czytelnikami.

To podstawowa różnica między blogiem a pamiętnikiem. Teksty blogerów nie są pisane do wewnątrz, a na zewnątrz. Są wystawione na krytykę i pochwały tuż po opublikowaniu tekstu.

Właśnie komentarze czytelników są najczęstszym powodem zarówno zachęty do dalszego pisania, jak i przyczyną kończenia przygody z blogiem.

W zależności od rodzaju tekstu gros komentarzy zostawianych przez czytelników mogą stanowić jednozdaniowe wyrazy aprobaty bądź niechęci. Zdarzają się też długie dyskusje na poruszony temat. Marzeniem chyba każdego blogera jest wierne grono użytkowników, którzy z zapałem komentują ich teksty. Tymczasem często przychodzi im zmierzyć się z krytyką, bywa że nieuzasadnioną. Czytelnicy komentują niewybrednie. „Ziew”, „Sprzedałeś się”, „Kiedyś cię lubiłem, a teraz mnie nudzisz” to najtagodniejsze negatywne komentarze, jakie można przeczytać w sieci. Blogerzy muszą jednak przynajmniej próbować się uodpornić, bo gra jest warta świeczki. Najpopularniejsze blogi to prawdziwe instytucje, za którymi stoją

ludzie zarabiający ogromne sumy. Nawet mniejsi blogerzy mogą czerpać liczne profity z tytułu prowadzenia bloga, o ile są zainteresowani zamieszczaniem na swoich platformach płatnych reklam.

Zatem blog służy nie tylko do zamieszczania wpisów. Może być również sposobem na promocję marek, produktów czy firm. Stanowi kanał do kontaktów z klientem, posługują się nim chętnie dziennikarze, politycy i celebryci. W każdym wypadku interakcja z czytelnikiem jest podstawą funkcjonowania bloga. Dzięki komentarzom blogerzy mogą rozwijać swoje umiejętności, wprowadzać nowe treści, rozszerzać tematykę. W drugą stronę czytelnicy korzystają za darmo z wiedzy i pomysłów znajdujących w tekstach.

Co więcej blog jest tak specyficzną płaszczyzną, która w efekcie pozwala autorom tekstów oraz ich czytelnikom na przeniesienie „znajomości” wirtualnej w świat realny. Bardzo popularną formą takiego kontaktu są spotkania organizowane przez autorów z najwierniejszą grupą czytelników. Zwykle są to osoby o podobnych zainteresowaniach, cechach charakteru i zbliżone do siebie wiekowo. Takie internetowe przyjaźnie są ogromną wartością blogów, która czyni z nich jeszcze bardziej popularną formą komunikowania się. Zdarza się, że już po samej nazwie bloga czytelnik orientuje się, z jakiego typu autorem ma do czynienia. Jeśli blog nazywa się „NiebałagAnka”, z dużą dozą prawdopodobieństwa można powiedzieć, że prowadzi go kobieta o imieniu Anka, która lubi porządek. Nazwy blogów to czasem całe historie, jak na przykład „Moja dziewczyna czyta blogi”. O autorze tego bloga już z samej nazwy da się wywnioskować całkiem sporo.

Czytelnicy identyfikują się z blogerami, śledzą ich życie, wspierają w trudnych momentach. Czasem też hejtują, czyli piszą negatywne komentarze bez żadnego uzasadnienia, co bywa bardzo niemiło przyjmowane.

Blogi to forma komunikacji, która pozwala na wyrażenie swoich emocji, przeżyć i wzruszeń. Ludzie znajdują w sieci swoje miejsce, w którym ich komunikaty są dostrzegane i uważane za istotne. Użytkownicy blogów zauważają nowe możliwości, których nie oferowały żadne analogowe środki przekazu. Tworzą nową społeczność, dającą coraz mniej anonimowości, ale też więcej profitów. Ta społeczność to blogosfera, dla której życie wirtualne jest nie mniej prawdziwe niż realne.

MAŁGORZATA SADOWSKA-BARTOSZEWICZ

Rzodkiewka nie chce na Instagram

Stoneczny czerwcowy wtorek. Zbieram z córką pierwsze rzodkiewki z przydomowych grządek. Są niewielkie, takie na jednego gryza. Słońce otacza popołudniowymi promieniami okrągłą buzię trzylatki. W zębach już ma czerwoną nowalijkę. Gryzie ją, radośnie się uśmiechając. Z jej ust wystają jeszcze kikuty liści.

Ile to by było? 20 like'ów na Facebooku. 30 serduszek na Insta w ciągu pierwszej godziny. Potem udostępni to babcia. Te achy i ochy. Te emotikonowe brawa i gratulacje, że taka piękna dziewczynka mi się trafiła. Ktoś napisze, że rzodkiewka z ziemi jest niehigieniczna. A jak pójdziemy gdzieś do ludzi z naszego ogródka, to będą wiedzieć, że za domem są zdrowe, bo swoje, warzywa.

Nie. Tylko ja to widziałam.

Środa rano. Śpią. W pierwszej linijce smartfona czają się koperty i małe f. Siku i gmail. Jeszcze się człowiek dobrze ze sobą nie potoczył, a już przechodzą na niego te kilobajty, wetransfery, wiadomości z messenger'a, twity, sirty, lajki i zaproszenia.

Środa trochę później. Gmail się rozgrzewa. Messenger'y i niekończące się konwersacje służbowe albo o dupie Maryni, albo o jakiejś innej. Nie możesz nic robić, bo ciągle z kimś gadasz, ust nie otwierając, chyba żeby się kawy napić. Bo kanapki sobie nie zrobisz, ręce wciąż zajęte.

Po 9.00 już można dzwonić, nikt się nie obrazi, że za wcześnie. W biurach ludzie już po pierwszej kawce. To dzwonimy. Jak ktoś dzieli sobie zadania na pilne i ważne, ważne, ale niepilne i tak dalej, to teraz robi te pierwsze. Trzeba się skupić, bo poranek trzeba wykorzystać, więc nie odbierają telefonów. Skrzynka zapełnia się odpowiedziami od ludzi DW i UDW. Raptem wszyscy mają coś do napisania. A ty, człowieku, czytaj i się zastanawiaj, czy to wciąż na temat.

Facebook już po pierwszym przelewie porannych fotek z cyklu „co u mnie słychać, jak jestem ubrana, co zjadłem i gdzie biegałem o poranku” oraz „moja pierwsza frustracja tego dnia”. Można jeszcze odnaleźć tekst o rondzie turbinowym, bo tam nigdy rano nic się nie dzieje, można poskrolować. Social media ninja's już poplanowali ten dzień i kolejne, teraz będą sprawdzać reakcje i zasięgi.

O, znajomy zmienił pracę. Z okna wypadło dziecko. Kot do adopcji. Nie wiedziałam, że z palety można zrobić taki super zielnik. Ania na śniadanie do owsianki dodała chia. Gdzieś jest pożar.

Stale księgowanie danych. Pod ręką bzczy. Spływają te podsumowania, zaproszenia, oferty, pytania o błahostki. Odpowiadam. Radio mówi, że 10.00, 11.00. Południe jakby spokojniejsze, ale kompulsywnie sprawdzam. Może ktoś, może coś. Samochód do mnie mówi głosami szefa, kolegi

z pracy, a kolejny siedzi obok i kciukiem uprzejmie traktuje telefon z jabłuszkiem nadgryzionym. Grzeszy?

Niecierpliwosć pcha ludzi do dzwonienia. To dzwonią, jeden po drugim, a i Ci, co wcześniej nie mogli, to oddzwaniają. Już nie pamiętam, o co chciałam zapytać, albo sobie znalazłam w internecie. Teraz messenger, szybkie pytanki i na koniec jakiś gif koniecznie, albo znaleździś na facebunia. Takie do śmiechu.

Po południu same nowości, bo coś już się zdążyło wydarzyć, zderzyć, wypięknąć. No to kontroluję te zdarzenia tym, że o nich wiem i niestety będę pamiętać. Dobrze, że mi sektor social pomaga pamiętać to wszystko i daje mi narzędzia. Kalendarze, aplikacje, programy. Listę zakupów w aplikacji na smartfona, żebym musiała z nim chodzić po sklepie przed nosem, w koszyku wożąc uroczą dziewczynkę, która marzy o czekoladzie i duperelach z FROZEN. Z Elzą. I wtedy też piszą, dzwonią i bzczy. Ciągle, bez opamiętania coś bzczy.

— Nie! Mama! Mamy rzodkiewki — krzyczy córka.

I wtedy między regałem mroźniczym a zaglębieniem syropu glukozowo-fruktozowego po raz kolejny pojawia się ta natrętna myśl. Gdzie jest granica dostępności? To przecież nic złego napisać do kogoś, wysłać sms-a. Polubić zdjęcie to tu, to tam. Skomentować czyjś obiad. Polubić miesięcznicę lub być zainteresowanym wydarzeniem w Szczecinie, jak się mieszka w Białymstoku. Dziś o 18.00. Gorzej jak klikniesz, że weźmiesz udział.

Dostępność dla wszystkich rozciąga się w czasie. Utrzymuje w ciągłym napięciu. Trzyma cię za rękę i bada puls. Przecież trzeba mieć rękę na pulsie. Tylko że ta ręka, co trzyma mój puls, jest obca. Chociaż jest w znajomych. Wszystko jest na bieżąco, live, multimedialne, przyjazne i szybkie. Intuicyjne jeszcze. Jeden mailik, jedna wiadomość — to tylko chwilka. Dziesiątki chwilek i tony uwagi, żeby w końcu zapamiętać, o tych własnych grządkach.

Ostatnie siku i mycie zębów. Ostatnie chwile przed zgaszaniem świateł. Dziewuchy jeszcze ciśną trening na dupę na żywo na Facebooku. Trump. Nienawidzą Trumpa. Jak zrobić kurczaka w 10 sekund, żeby wyglądał jak z książki Jamie'ego Oliviera. Piszę do koleżanki, która mieszka w Chile. Kurde, ona odpisuje. Światła w łazience nie zgaszę jeszcze długo.

Tuż przed zaśnięciem widzę jeszcze raz te ginące pod mleczakami niedomyte rzodkiewki. Pyszne. Twarde. Trochę ostre. Intensywnie czerwone. Ona śmieje się do mnie, mrużąc oczy. Nie chcę tego nikomu oddawać, bo to jest naprawdę.

MAŁGORZATA SADOWSKA-BARTOSZEWICZ

Z wykształcenia animatorka kultury. Doświadczenie zdobywała w RADIU UWM FM, TELEWIZJI OLSZTYN. Współpracowała z TVP 3 Olsztyn, Radiem Olsztyn. Zawodowo związana również z Miejskim Ośrodkiem Kultury i Telewizją Kopernik. Współautorka audycji o tematyce rodzicielskiej w UWM FM pt. RADIO 120+ . Rodzicielskie kieszonkowe. Olsztynianka z Ornety. Mama.

TERESA DWÓRZNIK-ROMAŃSKA

Szmaciany duch

Od zarania dziejów w charakterze mężczyzny tkwiła chęć wykazywania się odwagą czy to w bojach, czy bójkach, czy też w różnych innych wyczynach. O nich też rozprawiano w długie wieczory w męskim towarzystwie, a szczególnie przy kartach.

— Wieta co, chłopy. — Zaczął jeden z karciarzy. — Takem dzisiejszy nocy myślał, żeby co furozmaicić w tym naszym graniu, bo stale w grosiaki i w grosiaki.

— A co nie mókeś spać?

— A żebyśta wiedzieli. Cało noc nie zmrzułem foka.

— To co też żeś wymyślił?

— Niby stara rzecz, ale eszcze to take, co nie grałym.

— Gadaj prędzy. Nie wytrzymuj nas.

— Dobra. Co powieta na to, żeby ten, co pierwszy trzy razy przegra przez wieczór, dostał za zadanie iść w nocy na cmentarz.

Wszyscy spojrzeli po sobie jakby z przerażeniem, ale nikt nie chciał wyjść na tchórza.

— No jak. Co was tak pozatykało? Boita sie?

— Ja sie zgadzom. — Odezwał się pierwszy.

— To ja też.

— I ja.

— Ma sie znaczyć, że łustalone.

Rozpoczęła się gra. Wkrótce został już wytypowany nieszczęśnik do nocnej wycieczki na cmentarz.

— Jak Klemens? Nie wycofasz sie? Dasz rade?

— Dom, dom. Nie myślyjta, zem znów taky bojażlywy.

— No dobra, ale jak będziwa mieć pewność, że fon buł na tym cmentarzu?

— Je na to prosta recepta.

— Jaka?

— Trzeba załostrzyć palyk i Klemens go wbije przy łostatni mogyle, to już będzie wiadomo.

— Dobra, dobra, ale fon go moży wbić w biały dzień.

— Toteż nie puściwa go samego. Pódziewa razem, eno my postoiwa het przed cmentarzem.

— To kedy?

— Jutro. — Odparł Klemens. — Załatwić toto jak najprędzy.

Przed północą następnego dnia czterech karciarzy udało się w kierunku cmentarza. Klemens mówił najmniej. Widać było, że trochę się stracha.

— Masz, Klemens. Wypij z pół ćwiartky gorzałki na odwagę.

— Ni ma mowy. Wy sobie wypijta, a ja biere palyk i ide. Potem sobie wychlam.

— Jak chcesz. My tu na ciebie czekawa.

Klemens zniknął w bramie cmentarnej. Wprawdzie co jakiś czas wyglądał zza chmur księżyc, ale ogólnie było ciemnawo. Minął jakiś czas.

— Coś długo nie idzie.

— Toć nie tak długo. Zaniem wbije ten palyk.

— Słyszta? Słychać łodgłos. Wbija. Jednak doszet.

Teraz już tylko wyglądało na odważniaka, ale czas uciekał, a Klemensa nie było.

Karcjarze zaczęli się niecierpliwić.

— Wieta co? Idziwa. Coś za długo go ni ma.

— Zawołajwa go eszcze.

Zawołali, lecz nikt nie odpowiadał. Wszyscy trzej ruszyli do bramy cmentarnej. Jeden miał latarkę, więc idąc alejką, oświetlali sobie drogę. Szli niepewnie, rozglądając się na boki i za siebie. Atmosfera cmentarza przesywała lękiem.

Dochodząc do końca alejki, zauważyli najpierw wbity biały palyk. Jakoś i księżyc wychylił się prawie zza chmur. Przy palyku leżał Klemens.

— Ło Jezusie, co my zrobiliym?

— Żyje? Chyba żyje. Żyje!

— Chwata Bogu.

— Klepnij go po głebie.

— Klemens, wstawaj. Żyjesz? Wstawaj!

— Pomóżwa mu wstać. Chodzi, Klemens, chodzi. — I zaczęli podnosić półprzymotnego kolegę.

— Co jest? Co to ma być? Nie można go łodciągnąć.

— Patrzajta. Palykem sobie przybiuł połe pałta.

Wyciągnęli palyk i ponieśli kolegę za teren cmentarza. Chłop doszedł już do siebie.

— Klemens. Łomglaeś. Wiesz? Złakleś sie, co?

— Nie. Wszystko było dobrze. Chciałem już łodchodzić, a tu coś me trzyma. I wten czas nie wiem, co dały.

— Klemens, nicht cie nie trzymał. Palykem przybiuteś sobie połe kapoty do zemi i cie trzymało. Tera, człowieku, wyśpij sie, a jutro znowuz spotkawa się na kartach.

Karcjarze, jak zwykle, spotykali się nadal długimi wieczorami i grali w karty, ale bardzo żalowali swego postętku. Nie było ani jednego wieczoru, żeby nie wspominali i nie współczuli towarzyszowi.

Minęło sporo czasu, zanim zaczęli sobie żartować z pamiętnej nocy na cmentarzu. A po okolicy i tak rozeszła się wieść, że karciarza trzymał duch.

